Rok V. Nr. 10. Październik 1899.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny.

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

TREŚĆ:

WARUNKI PRENUMERATY:

	rocznie:	półrocznie:
W monarchii austr.-węgr.	8 koron,	4 korony.
„ ces. niemieckiem	8 marek,	4 marki.
„ Francyi, Szwajcaryi, Włoszech .	12 frank.,	6 frank.

	rocznie:	półrocznie
W Anglii	10 szyling.,	5 szyling.
„ Stanach Zjednocz. Ameryki półn.	2 dol. 50 c.,	1 dol. 25 c
„ królest. polskiem i ces. rosyjsk.	8 rubli,	4 ruble.

(Nr. pojedynczy 80. gr. austr. 40 ct.)

REDAKCYA i ADMINISTRACYA
Lwów ul. Koralnicka 6 (Lemberg, Austria)

Rok V. Październik 1899 r. Nr. 10.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

PRZEŁOM W AUSTRYI.

I znowu nastąpił dziś zwrot w polityce wewnętrznej Austryi którego należało oczekiwać i liczyć się z nim zawczasu, zwłaszcza wiedząc z doświadczenia, że w najważniejszych chwilach rozstrzygają sprawę sfery, gdzie, jak trafnie powiedziano — „wrażenie decyduje o wszystkiem“. W Austryi zostało więcej niż gdzieindziej „przeżytków“ dawnego porządku rzeczy i polityka państwowa ma tam jeszcze charakter gabinetowy, grają więc w niej ważną rolę takie czynniki, jak wrażenia wypadkowe, sympatye i nałogi osobiste, tradycye dynastyczne, uprzedzenia, intrygi, i t. d. Bodaj nigdzie, nawet w republikach, polityka państwowa nie jest wolną od wpływu tych czynników ubocznych, ale w żadnem państwie konstytucyjnem nie mają one tak doniosłego, jak w Austryi znaczenia. Trudno wprawdzie liczyć się z takimi czynnikami nieuchwytnymi, jak wrażenia, uprzedzenia i sympatye, można jednak z góry przewidzieć, że wpływ ich w chwili stanowczej wyrazi się niemal zawsze w duchu tradycyi dynastycznej i rutyny państwowej, a więc tradycyi i rutyny austryacko-niemieckiej, biurokratyczno-centralistycznej. Świadomi spraw zakulisowych twierdzą, że momentem, który wywołał w sferach decydujących silne wrażenie, zręcznie później w ciągu dłuższego czasu podsycane i umiejętnie wyzyskiwane, była w gruncie rzeczy drobna sprawa odpowiadania przy apelu wojskowym po czesku *zde* zamiast po niemiecku *hier*. Tę drobną sprawę wydęto, nadano jej zasadnicze znaczenie, przedstawiono jako pogwałcenie tradycyjnego, niemieckiego charakteru armii, jedynej pewnej ochrony dynastyi i państwa.

O tych względach, które w polityce austryackiej często decydujące mają znaczenie, prasa polska w innych dzielnicach zazwyczaj nic nie mówi i dlatego zmiany, zachodzące w tej polityce, nie zawsze właściwie ocenia i nie może znaleźć istotnej ich przyczyny albo fałszywie ją określa. Dodać jednak trzeba, że w Warszawie i w Poznaniu trafniej, niż w Krakowie i Lwowie, oceniają położenie i lepiej

pojmują doniosłość tej walki, która od kilku lat w Austryi się toczy. Politycy i publicyści galicyjscy, znający bezpośrednie powody zmian i odczuwający bezpośrednie ich skutki, nie zawsze uświadamiają sobie należycie, że to przesilenie parlamentarne w Austryi, które niemal wyłącznie ich zajmuje, jest tylko jednym z objawów dokonywającego się w tem państwie przeobrażenia wewnętrznego i że to przeobrażenie jest wypadkiem wielkiej wagi zarówno dla naszej sprawy narodowej, jak i dla ukształtowania się w blizkiej przyszłości stosunków międzynarodowych.

Patrząc zblizka, widzi się lepiej te drobne względy i te uboczne czynniki, które w danej chwili na przebieg wielkiego procesu historycznego wpływ wywierają, które wywołują w nim zwroty i zmiany formalne — ale tylko z pewnej odległości można objąć całość tego procesu przeobrażania się Austryi, zrozumieć jego charakter właściwy i ocenić jego doniosłość. To też nietylko prasa polska w innych dzielnicach, ale i prasa zagraniczna poważniej niż prasa austryacka pojmuje położenie polityczne i trafniej istotę jego o określa.

Ludzie, biorący bezpośredni udział w walce, która od lat kilku w Austryi się toczy, żywo zainteresowani rozmaitemi fazami jej przebiegu, nie mogą chwycić tego, co rdzeń jej stanowi, nie mogą w sądach swoich i wskazaniach wznieść się po nad interesy partyjne, uwolnić się od wpływu względów kateryjnych i osobistych, uprzedzeń, nienawiści lub sympatyj, wymagań taktyki stronnictwa, rutyny dotychczasowej działalności i t. d. W bezładzie wciąż zmieniających się wypadków, coraz innych wrażeń, w fermencie dążeń różnorodnych niesformułowanych, często nawet nieuświadomionych — pojęcia i poglądy polityczne z trudem i powoli się klarują. Nie wątpimy, że i w tej sprawie klarować się zaczną, ale nim to nastąpi, panuje w opinii publicznej taka sprzeczność zdań, takie świadome lub bezwiedne bałamuctwo polityczne, że społeczeństwo nie może zoryentować się w położeniu, musi na oślep wybierać drogi i środki działania.

Doszło przecie do tego, że p. Madejski, *persona grata* fabrykantów niemieckich w Białej i przyjaciel centralistów wiedeńskich, występuje w roli gorliwego patryoty polskiego i z patosem dowodzi, że polityka słowiańska musi iść „z Rosyą i pod Rosyę“. Co dziwniejsza w tej drażliwości uczuć polskich, w tej czujnej gorliwości obywatelskiej współzawodniczy z p. Madejskim jeszcze lepszy „patryota“, p. Masłowski, przyjaciel Komarowa. *Ambo meliores.* Nie jest trzeci jeszcze, „prawdziwy polski międzynarodowy patryota“, jak powiada *Dyabeł* — p. Daszyński, który nietylko obawia się moskalofilstwa, ale zarzuca historycznym narodowościom Austryi, że mają

na celu „ugruntowanie jednostek państwowych“. Socyalistyczna *Arbeiter Zeitung* z zadowoleniem wita gabinet „dzielnych i tęgich urzędników“ jako najwłaściwszy w danej chwili, a socyaliści galicyjscy tak się niepokoją o całość Austryi i jej powagę międzynarodową że aż p. Veto w *Przedświcie* londyńskim, zaniepokojony tą ewolucyą w duchu c. k. austryacko - centralistycznym pyta: „co ma wspólnego ten austryacki patryotyzm z tą niepodległością Polski, z którą się paraduje od święta“?

Pogodzenie patryotyzmu polskiego i dążności opozycyjnych z lojalną troską o zachowanie całości Austryi i „wagi jej na rynku międzynarodowym“ nie jest zasługą wyłączną p. Daszyńskiego. Uprzedzili go w tem liberalni demokraci, chętnie występujący w roli spadkobierców rewolucyjnego patryotyzmu polskiego. Jeden z nich rozwija w *Słowie polskiem* zastosowaną do stosunków austryackich zasadę katolicką: *Roma locuta est, causa finita*, i dowodzi, że w Austryi mogą być dziś tylko dwie polityki: jedna polityka „frondy“, druga „polityka cesarska“, a niema wątpliwości, że Polacy powinni prowadzić tylko „politykę cesarską“. Łatwo się domyśleć, że to musi być mąż stanu z pod Tarnowa, ojczyzny istniejącej w r. 1846 i później narodowości „cesarskiej“. W formie, do stosunków współczesnych zastosowanej, wskrzesza ten liberał i demokrata polski tradycyę tej polityki i tej narodowości, której przeniewierzył się lud, skoro polskość swoją uswiadomił sobie. Nie warto tracić oburzenia na karcenie tego paskudztwa politycznego, którego nie wyplunąłby nawet najlojalniejszy stanczyk, na któreby się wzdrygnął nietylko demokrata dawnej daty, ale nawet stary szlachcic sejmikowy.

Inny znów demokrata broni „nietykalności ustaw i urządzeń uchwałami Rady państwa ugruntowanych“. Ludzie, którzy przez 30 lat walczyli o zasadę, że sprawy językowe i narodowościowe „należą do kompetencyi sejmów“, dowodzą teraz, że Rada państwa powinna uchwalić ustawę szablonową, normującą stosunki narodowościowe i językowe w całej Austryi. A wtóruje im przedzierzgnięty w legalistę emerytowany buntownik p. Daszyński, wykazujący potrzebę ustawy „racyonalnej“, którąby narodowość „w prawnicze formy ubrała, sankcyami opatrzyła“.

Ale dosyć tych przykładów, chociaż dla scharakteryzowania gmatwaniny pojęć i dążeń należałoby jeszcze przytoczyć ustępy z niektórych artykułów *Czasu*, przypominających bardzo dawne, dobre czasy tego pisma, należałoby zaznaczyć umiarkowaną, ale wyraźnie opozycyjną postawę Koła polskiego, którego nie rozbroiło dotychczas zawsze osiągające skutek pożądany życzenie, żeby Polacy „nie robili rządowi trudności“.

Ludzie, z rozmaitych powodów, świadomie lub bezwiednie przeczący swoim przekonaniom, programom stronnictw, do których należą, zasadom politycznym, które wyznają, dążeniom, których są wybitnymi przedstawicielami, ludzie, nie mogący wyzwolić się z rutyny, pozbyć się przesądów, uchylić się od wpływów ubocznych — przedstawiają w fałszywem oświetleniu przesilenie polityczne w Austryi, nie rozumiejąc właściwego charakteru tego procesu, albo przeinaczając go świadomie.

Jedni mówią, że nie chodzi tu o złamanie nieuzasadnionej przewagi żywiołu niemieckiego. o równouprawnienie innych narodowości, o zyskanie możności stopniowego przekształcenia ustroju państwa w duchu autonomiczno-federalistycznym, ale że jest to walka rasowa z Niemcami, prowadzona pod hasłem niebezpiecznem solidarności słowiańskiej, walka, która rozpętała instynkty nienawiści, ślepa i bezmyślna, bo bez Niemców w Austryi rządzić nie można. Każda walka musi instykty nienawiści i waśni rozbudzać, jest to konieczność nieuniniona. Nie przeczymy też bynajmniej, że w tej walce, która się w Austryi toczy, hasła wzajemności słowiańskiej niewłaściwie używano i nadużywano. O tem mówimy w innem miejscu. Ale walka musiała po prostu przybrać charakter walki między Niemcami i Słowianami ze względu na stosunki realne. Przeciw przewadze państwowej 8½ milionów Niemców występują przedstawiciele 15 milionów ludów słowiańskich, domagających się równouprawnienia. Inne narodowości nie nie biorą w walce czynnego udziału. Garstka (300.000) Rumunów nie odejmuje większości, domagającej się równouprawnienia, charakteru słowiańskiego. Nie odejmuje go również przedstawicielstwu tej wiąkszości fakt, że grupa, nieliczna zresztą, Niemców ze stronnictwa kalicko-ludowego w pewnej mierze program autonomiczny popiera. Ta zaś okoliczność, że liczniejsi od Rumunów Włosi, którzy obawiając się równouprawnienia Słowian stoją po stronie centralistów niemieckich, nie pozbawia przedstawicielstwa opozycyi dotychczasowej charakteru niemieckiego, jak również to, że z lewicą idą w Radzie państwa socyaliści, którzy wprawdzie z różnych krajów pochodzą, ale słuchają komendy niemiecko - żydowskich towarzyszy wiedeńskich.

Walka o równouprawnienie i rozszerzenie autonomii krajów jest w rzeczywistości walką między Słowianami i Niemcami. Łącznikiem, wiążącym w jedną całość obóz słowiański, nie jest solidarność ani wzajemność plemnienna, ale wspólność interesów zasadniczych, która przeważa istniejące niewątpliwie pewne sprzeczności tychże interesów.

Jakaż może być wspólność interesów, która łączy z prawicą stronnictwo katolicko - niemieckie? pytają ci, którzy znowu pragną

wykazać, że celem walki nie jest wcale równouprawnienie narodów słowiańskich, ani dążenie do rozszerzenia autonomii i ustroju federacyjnego państwa, ale że jest nim tryumf reakcyi. Prawica nie jest stronnictwem słowiańskiem — powiada taki polityk — bo oprócz Słowian są w niej Niemcy, Rumuni i t. d. Jest to poprostu stronnictwo zachowawczo-klerykalne.

Otóż ci „Niemcy, Rumuni i inni“ stanowią mniej niż 1/6 prawicy, jak świadczą przytoczone niżej cyfry.

Do zorganizowanej prawicy należą:

Czesi	63
Wielka własność czeska	19
Polacy	56
Związek słowiańsko-chrześcijański	34
Katolickie stronnictwo ludowe	27
Centrum	6
Rumuni	5
Razem	210

Zbliżają się do niej:

Z grupy Stojałowczyków	7
Stronnictwo ludowe polskie	4
Serbowie	2
Morawskie stronnictwo środkowe	3
Dzicy Rusini	4
Dzicy konserwatyści	5
Razem	25

Katolickie stronnictwo ludowe łączy z prawicą nietylko poszanowanie mniej lub więcej szczere zasady równouprawnienia narodowego, ale również interes jego własny, bardzo realny. Dla tego stronnictwa niema wcale miejsca w obozie niemieckim. Chcąc osiągnąć jakie takie znaczenie w parlamencie i urzeczywistnienie chociaż niektórych swoich postulatów, musi to stronnictwo szukać poparcia na prawicy, ta zaś musi mu przyrzec pewne wynagrodzenie za potrzebne jej głosy. Takie kombinacye zdarzają się często w parlamentach, złożonych ż wielu stronictw różnorodnych, a nawet w angielskim, gdzie był czas, że nieprzejednani irlandzcy szli z zachowawcami przeciw liberałom.

Nie wskutek udziału Niemców - katolików, lecz w ogóle wskutek swego składu większość prawicy ma w sprawach politycznych i społecznych charakter zachowawczy. Ale Młodoczesi, przyłączając się do prawicy, nie przestali być, jak to twierdzą pisma niemieckie

i socyalistyczne, stronnictwem postępowem i demokratycznem, musieli tylko zgodzić się na pewien kopromis czasowy. Są zresztą oprócz nich aczkolwiek nieliczne żywioły demokratyczno-postępowe i w klubie chrześcijańsko-słowiańskim i nawet w Kole polskiem. W żadnym zaś razie nie można klerykalno-zachowawczej prawicy przeciwstawiać — liberalnej lewicy, bo do niej należą i chrześcijańsko-socyalni (antysemici) i wiernokonstytucyjna własność większa i inne stronnictwa, które nie są ani demokratycznemi, ani postępowemi.

Istnieje jeszcze trzecia wersya, równie jak poprzednie fałszywa, twierdząca, że walka w gruncie rzeczy toczy się między wstecznemi dążeniami do absolutyzmu a konstytucyonalizmem. Ta wersya przeznaczona jest głównie dla warstw ludowych, a w rozmaity sposób przyrządzali ją socyaliści. Prasa niemiecka mówi również chętnie o walce w obronie konstytucyj, swobód parlamentarnych i t. d. Nawet gabinet urzędniczy ma właśnie na celu przywrócenie życia konstytucyjnego.

Nie bronimy wcale rzadów hr. Badeniego, ani jego polityki. Ale stwierdzić trzeba, że te rządy do awantur w Radzie państwa nie były wcale mniej konstytucyjnemi od rządów poprzednich gabinetów, zwłaszcza niemiecko-liberalnych. Przeciwnie, te rządy właśnie rozszerzyły bądź co bądź parlamentaryzm austryacki, zaprowadzając V-tą kuryę, podczas gdy lewica niemiecka przeciwną była wszelkim reformom wyborczym, wszelkim zmianom, mającym na celu rozszerzenie praw obywatelskich i dla tego nazywała się nawet wierno-konstytucyjną, że niezmienności konstytucyi broniła.

Niewątpliwie samowolnymi, brutalnymi i gorzej niż występnymi bo bezcelowymi były przedsiębrane przez rząd w parlamencie środki i ustawy poskramiające, nielegalnie uchwalane, wyrzucanie posłów przez policyę i t. d. Ale pamiętać trzeba, że to pogwałcenie prawa i swobód obywatelskich było spowdowowane przekraczającem miarę nawet „parlamentarnych“ skandalów zachowaniem się opozycyi I to również należy przypomnieć, że w podobny sposób postępowały gdzieindziej stronnictwa niewątpliwie liberalne i postępowe. W ojczyznie parlamentaryzmu — Anglii — liberalny gabinet Gladstone'a przeprowadził przeciw Irlandczykom bill, ograniczający dotychczasową wolność rozpraw. Republikanie francuzcy, zdobywszy władzę, przy pomocy siły zbrojnej wyrzucali z izby deputowanych monarchistów (np. Baudry d'Assona).

Rządy na podstawie § 14 nie są bynajmniej pogwałceniem konstytucyi, skoro ten paragraf w konstytucyi przecie się znajduje. Można i należy je zwalczać, ale nie nie można twierdzić, że gwałci kon-

stytucyę rząd, który za pomocą tego paragrafu zapobiega daleko ważniejszemu, istotniejszemu skażeniu wszelkich zasad parlamentaryzmu i konstytucyonalizmu, jakiem jest narzucanie większości woli mniejszości. Konstytucyonalizm opiera się przedewszystkiem na uznaniu zasady większości. Prawdziwem pogwałceniem konstytucyi będą dopiero rządy przeciw tej większości sprawowane.

Wiedeńskiej Rady państwa nie można uważać za przedstawicielstwo woli narodu — w Austryi należałoby mówić: woli narodów — ale przeciwstawianie takiej nawet reprezentacyi — „polityki cesarskiej", prowadzonej przez gabinet „dzielnych i tęgich urzędników", niema chyba nic wspólnego z prawdziwym konstytucyonalizmem.

Organ liberałów galicyjskich zrobił niedawno słuszną faktycznie uwagę, że sprawa równouprawnienia narodowego w Austryi łączy się z prądami zachowawczymi, wstecznymi nawet pod względem społecznym. A tego faktu wysnuł dalej wniosek, że Polacy, których tradycyą polityczną jest służba zasadom wolności, powinni tę sprawę równouprawnienia wziąć w swoje ręce i rozwiązać w duchu liberalnym i postępowym.

Istotnie w Austryi, ale nie tylko w Austryi idea równouprawnienia narodowego stoi w pewnym związku z dążeniami, pod względem społecznym i politycznym zachowawczemi. I nie jest ten związek bynajmniej przypadkowym. Równouprawnienie narodowe to nietylko równouprawnienie językowe, ale uznanie odrębności kultury, tradycyi politycznej i społecznej, przyrodzonej lub w przeszłości wytworzonej, odrębności interesów ekonomicznych, słowem uznanie tych wszystkich pierwiastków, które w życiu narodu mają znaczenie zachowawcze.

Zaznaczono słusznie, że stronnictwa zachowawcze i demokratyczne, (a wszystkie stronnictwa prawdziwie demokratyczne są zarazem szczerze narodowemi, nacyonalistyrznemi), przedstawiają, pomimo różnic w programach realnych, jakby jeden typ myślenia i działania politycznego, a stronnictwa liberalne i socyalistyczne — drugi. Istotnie, nie mówiąc o innych punktach wspólnych, właściwością znamienną pierwszych jest historyczno-przyrodnicze, organiczne pojmowanie zjawisk życia politycznego i społecznego. Natomiast liberałom i socyalistom jest właściwem mechaniczne, formalne, racyonalistyczne pojmowanie tych zjawisk. W ich przekonaniu sprawę równouprawnienia narodowego rozstrzygnąć może stanowczo wzorowa, „racyonalna", jak charakterystycznie wyraża się p. Daszyński, ustawa „w prawnicze formy ubrana." Dla nich równouprawnienie narodowe — to równouprawnienie języka, bo odrębność językowa jest jedyną „formą" uchwytną odrębności narodowej.

Zasadą naczelną polityki polskiej musi być równouprawnienie narodowe, pojęte szerzej, jako uznanie odrębności duchowej, politycznej, społecznej i ekonomicznej. Co nas obchodzi, czy ten cel osiągniemy przy pomocy liberałów, czy przy pomocy wsteczników, Niemców czy Czechów, bylebyśmy go osiągnęli. Idziemy z zachowawcami i Słowianami, bo mamy wspólny interes z nimi, wspólne dążenia zasadnicze, wspólnego wroga. Co nas właściwie obcodzi, że przy realizowaniu tego celu mogą szwank ponieść zasady liberalne, że może ucierpieć konstytucya austryacka, że monarchia austryacka może „stracić wagę na rynku międzynarodowym. *Right or wrong — my country.*

To nie jest polityka frondy, ani polityka cesarska, ale to jest polityka polska, która w opinii publicznej zyskuje jednak zwolenników, skoro Koło polskie, wprawdzie bardzo lękliwie i ostrożnie pierwsze kroki w tym kierunku stawia. Nie dziwimy się tej bojaźliwej przezorności. Chodzi tu zapewne i o mandaty, które by Koło w znacznej liczbie utracić mogło, gdyby wskutek stanowczej jego opozycyi rząd Radę państwa rozwiązał i nowe wybory rozpisał. Ale nietylko mandaty i wpływowe stanowiska byłyby w tym wypadku zagrożone. Rząd niemiecko-liberalny mogłby wyzyskać nietylko Rusinów, ale poniekąd i Żydów, a może i w społeczeństwie naszem znalazłby jeszcze żywioły, odpowiednie do polityki cesarskiej w przeciwieństwie do polityki frondy polskiej.

Musi więc być Koło oględnem w działaniu, sądzimy jednak, że wytrwa na stanowisku opozycyjnem, na stanowisku narodowem i że znajdą się tam obok niego posłowio ludowi polscy. „Dzielni i tędzy“ urzędnicy nawet przy chętnej pomocy wierno-konstytucyjnych socyalistów nie powtrzymają na długo procesu dziejowego, którego rezultatem musi albo przekształcenie państwa na zasadzie autonomii krajów i narodów, albo smutny początek — rychłego końca Austryi.

CZYNNIKI SŁABOŚCI ROSYI.

Czyż nie śmiałym anachionizmem jest dziś odezwać się o jakichkolwiek słabych punktach Rosyi, gdy od lat pięciu odgłos jej sukcesów dyplomatycznych napełnia Azyę i Europę, gdy brzmi nam w uszach jeszcze podróż tryumfalna cara po Europie, jako zapowiedź powodzeń dalszych. Stanowisko Mikołaja II, pisał wtedy *Pester Lloyd*, jest stanowiskiem króla królów Europy, a frazes ten *mutandis mutatis* roznosiły po Europie setki innych dzienników. Nic nie jest w stanie równać się z potęgą monarchy, które ma na swe rozkazy dwie armie i dwa skarby

(rosyjskie i francuskie). Z powodzi frazesów dziennikarskich wyjęliśmy jaskrawsze, ale kto czytał wówczas dzienniki mógł się przekonać, że ołbrzymia część prasy europejskiej w ten sposób charakteryzowała położenie polityczne. Odgłosy te zresztą bynajmniej nie przebrzmiały i dają się słyszeć ciągle, przy każdym nowym czynie dyplomacyi rosyjskiej; prasa europejska z nerwowością histeryczki chwyta bieżące zdarzenia polityczne, wysnuwa z nich najdalsze konsekwencye w tym kierunku, zapominając, że te zdarzenia są tylko kolejnemi wzniesieniami i spadkami bieżącej fali historycznej, że, co ważniejsza, jak wskazuje historya, już niejednokrotnie w chwilach największego upojenia zewnętrznymi sukcesami blizką była katastrofa. Wszak już raz Rosya zrzuconą była z olimpijskiej wysokości, z której królowała nad Europą. »Dzisiaj (1851 r.) pisał Albert, mąż królowej Wiktoryi, Rosya panuje nad Europą, gdyż niema państwa, które ośmieliłoby się jej stawiać opór«; było to na 4 lata przed wojną krymską.

Ocena dokładna sił organizmu państwowego wogóle, jak przypuszczamy, przewyższa siły najbystrzejszego męża stanu, ale chyba nikt nie jest mniej powołany do niej, niż codzienna prasa, która w pogoni za sensacyą zmuszona jest niejako rozdymać chwilę bieżącą do znaczenia przełomowego zwrotu dziejowego i skłonna jest w przyszłości widzieć tylko spotęgowanie tendencyj współczesnych. Podczas orgij ugodowych, podczas przyjazdu cara do Warszawy, po uroczystej wizycie Faure'a w Petersburgu, jeden z publicystów ugodowych wyraził się, że Polacy wtedy chyba urządzą powstanie, kiedy Francuzi rozpoczną z Rosyą wojnę. Miało to oznaczać niepodobieństwo i jednego i drugiego a dowodzi tylko dziennikarskiej skłonności do uwieczniania istniejących w danej chwili stosunków politycznych. Podobne zresztą sądy spotykamy co krok w dziennikarstwie, które chyba wyjątkowo traktuje sprawy z szerszego, historycznego zjawiska *sub specie aeternitatis*. To też tak samo, jak przed 10 jeszcze laty zbyt pospiesznie i skwapliwie ogłoszono Rosyę za kolos na glinianych nogach, tak samo niekrytycznie ogłoszono ją dziś za decydującą potęgę, za »mocarstwo kierujące«, wobec którego wszystkie inne odgrywają niemal drugorzędną rolę. Żyjemy zaś w czasach, gdy kult siły i powodzenia, choćby chwilowego, występuje w całej swej bezczelnej nagości, dlatego też nie dziw, że na wierze w niezachwianą potęgę Rosyi, krzewić się zaczyna przekonanie i o jej postępach ekonomicznych, kulturalnych, społecznych, przesadna, wprost nieraz fałszywa ocena jej literatury i nauki, odbijająca tak jaskrawo od niezbyt jeszcze dawnego ignorowania rzeczywiście niepospolitych utworów jej piśmiennictwa. Niezbyt jest przyjemnie zeznać przed sobą, że się ma wroga potężnego i barbarzyńskiego, wynika z tego obo-

wiązek reakcyi, obrona przynajmniej moralna przezeń uciśnionych. W zrozumiałej chęci usunięcia się od tego brzemienia wyszukiwać nieraz jesteśmy skłonni w naszym nieprzyjacielu dodatnich przymiotów. Oto mniej więcej prawdziwa geneza dzisiejszego rusofilskiego nastroju w bardzo wielu zkądinąd humanitarnych kołach Europy.

O postępach kulturalnych Rosyi mamy zamiar pomówić osobno; tutaj zastanowimy się najprzód nad pytaniem co do potęgi mocarstwowej Rosyi.

Olbrzymie przestrzenie, obfitujące we wszelkie skarby przyrodzone, a na nich 130 milionów posłusznych jednej woli samowładnego monarchy, armia milionowa która zresztą wzrosnąć może w przyszłości — oto szereg wyobrażeń, budzących się przy wyrazie Rosya. Obraz bez wątpienia imponujący i nie myślimy bynajmniej zaprzeczać jego względnej dokładności, twierdzimy jednak, że uzupełniony, jak należy, traci nieraz na grozie i znaczeniu. Musimy bowiem w obliczeniach sił narodowych obok cyfr brać pod uwagę sprawność działania mechanizmu państwowego i, o ile to możebne, ocenić ilość energii, którą ten ostatni zdoła na zewnątrz rozwinąć. Państwo rosyjskie od dwóch blizko wieków t. j. od reformy Piotra stale w jednym rozwijało się kierunku: zasilone wszystkimi środkami techniki europejskiej, wojennej i przemysłowej, przekształcało się w maszynę kolosalną, przeznaczoną do podboju zewnętrznego i wewnętrznego. Ten ostatni miał asymilować zabory i ugniatać, odpowiednio do celów rządowych, cały naród w bierną, posłuszną masę, która wszelką inicyatywę społeczną, kulturalną i cywilizacyjną złożyła w ręce rządu. I nie można zaprzeczyć, że dla celów potęgi państwowej, przy różnorodności żywiołów etnicznych, absolutyzm był doskonałem narzędziem, w miarę jednak wzrastania i komplikowania zadań społeczeństwa i państwa nowoczesnego ukazuje się powoli i odwrotna strona medalu. W cieniu absolutyzmu zrodzona biurokracya, zrazu pokorne jego narzędzie, potem wciąż wzrastając we wpływy, dziś jest istotną panią nietylko państwa lecz i społeczeństwa; w ręku jej spoczywa zarówno siła państwowa jak i istotna wpływowa opinia społeczeństwa rosyjskiego. Dwa wskazane przez nas zadania i po dziś dzień stanowią główną oś polityki rosyjskiej: rozszerzanie granic państwa na zewnątrz, ujmowanie w swoje ręce całego życia narodu i asymilacya religijno-językowa. Aparat biurokratyczny, panujący nad całem życiem narodu, przedewszystkiem bacznem okiem strzeże całości swej władzy, najdrobniejszy objaw autonomii społeczeństwa ściąga podejrzliwe jego spojrzenie, raczej skurczyć na łożu Prokrusta życie społeczne, niż pozwolić mu się wyślizgnąć z pod czujnej kontroli, ponieważ zaś samo życie komplikuje się coraz bardziej, system państwowy staje się coraz

cięższym i mniej sprawnym. Centralizacya państwowa poprostu nie może sobie dać rady z nawałem spraw, zalegającym główne biura, odzywają się nieśmiałe głosy, wskazujące decentralizacyę jako konieczne lekarstwo, lecz ta ostatnia budzi zmorę separatyzmów narodowych. Polacy, Litwini, Niemcy, Łotysze, dalej Rusini, rozmaite szczepy Kaukazu, że nie poruszamy Azyi, czyż nie dość, aby zamącić spokojny sen wyznawców jedności państwowej. Bynajmniej nie uważamy za równorzędne tych separatyzmów, ale nawet tak umiarkowany, jak rusiński, niewątpliwie objawia pewne nieśmiałe pretensye do odrębności językowej, polsko-litewski i finlandzki występuje przeciw jedności państwowej, a wszystkie one krępują i wyczerpują siłę maszyny państwowej, wywołując kosztowne i demoralizujące środki wyjątkowe na kresach, gdzie miejscowi urzędnicy nie czują niemal nad sobą żadnego wędzidła. Ale jedności grozi drugi wróg, różnica religijna: tutaj państwo z całym arsenałem środków barbarzyńskich wytęża wszelkie siły, aby świeckiem ramieniem podeprzeć bezsilne wewnętrznie prawosławie, które samo przez się nietylko skwitować musi z prozelityzmu, lecz w swojem własnem wnętrzu uporać się nie może z herezyami; pomimo najbardziej drakońskich środków sztundyzm nie tylko nie osłabł, ale nawet wkroczył do gubernij, gdzie dawniej go nie było. Niema tak niedorzecznej herezyi, skarży się jakieś pismo, która nie brałaby góry nad prawosławiem.

Walka przeciw innym narodowościom i wyznaniom, walka przeciw herezyom w łonie własnego, nareszcie czujna kontrola nad najdrobniejszemi resztkami autonomii społecznej ziemskiej lub innej, oto stałe brzemię stojącej u steru biurokracyi, która, znosząc wszelką inicyatywę społeczną, tem samem wzięła na siebie cały ogrom zadań kulturalnych i ekonomicznych, słowem to wszystko, w czem na Zachodzie wyraża się życie społeczne. Otóż bankructwo biurokracyi z tej strony wygląda jaskrawo. Z jednej strony niszczy »komitety *gramotnosti*« i inne szczupłe przejawy rosyjskiej samorzutnej myśli społecznej, z drugiej nic nie robi dla oświaty, mniej niż nic, gdyż rzuca masy ludowe w objęcia popów za pomocą szkółek parafialnych i odczytów niedzielnych przeciw sektom. A tymczasem ukazują się zadania, którym rząd sprostać nie może; już dla nikogo nie jest dziś tajemnicą, że głód, jaki w ostatnich dwóch latach nawiedził wnętrze Rosyi, nosi wszelkie znamiona klęski chronicznej; mamy tu z jednej strony do czynienia ze skutkami długoletniej ultra-rabunkowej gospodarki, która wyniszczyła ziemię, z drugiej zaś ze zrujnowaniem zupełnem włościanina rosyjskiego. Podczas więc gdy rząd zajęty jest »*objedinieniem*« na kresach, w oczach jego niszczeje włościanin rosyjski, próchnieje rdzeń całego państwowego kolosu. Aby zaradzić klęsce niedość jest wyrzucić z niezbyt pełnego

skarbu dziesiątki, może setki milionów; trzeba podnieść stan kulturalny ludu i otworzyć ujście inicyatywie społeczeństwa, gdyż zepsuta i niedołężna biurokracya stanowczo nie może się kusić o podobne zadanie. Rząd jednak nie zdaje się wstępować w okres reform zasadniczych, te ostatnie bowiem wyzwalają siły opozycyjne, które przy sprzyjających okolicznościach dosięgnąć mogą rewolucyjnego napięcia. Może się to wydać złośliwym paradoksem, niemniej prawdą jest, że w Rosyi nawet rewolucyjny ruch musi być niejako zainicyowany przez reformy, idące z góry; te ostatnie obudziłyby nadzieje, słowem wprowadziły społeczeństwo w pewien stan gorączkowy, za którym ukazałby się ruch rewolucyjny. Dziś nie istnieje w Rosyi żadna poważna partya opozycyjna, z którą potrzebowałby się rząd liczyć; liberalna opozycya, rozporządzająca zresztą kilkoma cenzurowanymi organami, wzdycha do pewnej odmiany systemu rządowego, nie kwestyonując samodzierżawia, ruch robotniczy nie wstąpił zupełnie na drogę polityczną, słowem rząd nie ma poważnego przeciwnika. To też zdania o możności blizkiej rewolucyi w Rosyi dowodzą albo zupełnej nieznajomości stosunków, albo dobrowolnej chęci łudzenia siebie i innych. Prawdopodobniejszymi wydają się żywiołowe ruchy doprowadzonego do ostateczności chłopstwa, ruchy, które mogłyby się nawet odbywać w imię cara. Nie byłyby one w stanie dokonać przewrotu politycznego, ale nadwyrężyć mogą maszynę państwową i zmusić pomimowoli rząd do wstąpienia na drogę koniecznych reform; te zaś ostatnie wywołałyby bezwątpienia silny ruch opozycyjny, podobnie jak to miało miejsce w pierwszem dziesięcioleciu panowania Aleksandra II. Wobec tych piętrzących się ze wszech stron zagadnień polityki wewnętrznej biurokratyczny rząd staje się niezdolnym i niechętnym do jakiejkolwiek szerszej akcyi, po za budowaniem kolei pozostawia odłogiem najbardziej palące zagadnienia kulturalne, natomiast szuka tryumfów w sferze polityki zagranicznej — tam od lat kilku może się pochlubić pewnymi sukcesami, mile łechcącymi duszę rosyjskiego szowinisty. A jednak, zdaje się nam, że te ostatnie wprowadziły go na pochyłość bardzo niebezpieczną i, wobec zmienionego położenia geograficzno-politycznego, stworzyły trudności dawniej całkiem mu obce — mówimy o nowych zaborach w Azyi. Jeszcze niedawno te ostatnie nie absorbowały tak silnie organizmu państwowego, odbywały się wolno, bez nakładu wielkiego kapitałów, ani sił militarnych, żaden nieprzyjaciel nie zagrażał olbrzymim obszarom azyatyckim; słowem, rozszerzając się na wschodzie, Rosya mogła mimo to całą swoją potęgą zagrażać Europie. A jednak wystarczyło ostatnich lat kilka, aby położenie to uległo zmianie radykalnej, dokładniej zaś mówiąc, aby zmiana, poprzednio przygotowana, jasno się zarysowała.

Jeszcze przed 18 laty Skobelew chciał w sposób prosty rozstrzygnąć kwestyę azyatycką przeprowadzeniem linii demarkacyjnej między posiadłościami rosyjskiemi i angielskiemi; z innemi państwami nie było wówczas potrzeby liczyć się w Azyi.

Tymczasem dokonały się doniosłe zmiany za morzami, w dali od kontynentu europejskiego, które wytworzyły odmienne ukształtowanie stosunków politycznych w Azyi. Z szybkością niesłychaną odbył się podział Afryki; czarny ląd, o którym przed dwudziestu laty mówiono, że mniej jest znany od od powierzchni księżyca, dziś uległ już zupełnemu podziałowi między państwa europejskie, to ostatnie wiedzą, że blizką jest chwila, gdy już na glebie ziemskiem nie pozostanie żadnych nowych terytoryów, ztąd gorączkowy pośpiech w poszukiwaniu i zagarnianiu zamorskich zdobyczy; obecnie pozostaje tylko Azya, prawdopodobnie najcenniejsza ze wszystkich części świata, ze swemi setkami milionów mieszkańców, wcale nienajgorzej przystosowanych do kultury europejskiej, przynajmniej powierzchownej. To też rozumiemy przeniesienie środka ciężkości polityki europejskiej na daleki wschód, tem więcej, że jak z pod ziemi wyrosło tem nowe państwo japońskie z 42 milionami mieszkańców, z europejską cywilizacyą i z takimże apetytem zaborczym. W Azyi więc oprócz Rosyi i Anglii przystąpili do rywalizacyi Francuzi, Niemcy (Kiao-Czau, Mała Azya) wreszcie niedwuznacznie objawiają swoje plany Japończycy. Wytwarza to dla Rosyi zgoła inne położenie, a ztąd inne zadania.

Z jednej strony o wiele prędzej i energiczniej, niż dotychczas, trzeba się zająć rozwojem ekonomicznym i zaludnieniem obszernych posiadłości syberyjskich i środkowo - azyatyckich, aby podnieść urok swój w Azyi, z drugiej zabezpieczyć je od możliwego najazdu nieprzyjaciół, wreszcie mieć zwrócony baczny wzrok na olbrzymie mrowisko Chińczyków tuż u swych granic syberyjskich. Rozległe zadania wymagają nietylko znacznego nakładu kapitałów, że wspomnimy jedynie o gorączkowej budowie kolei azyatyckich, ale i potężnego rozwoju sił militarnych w Azyi, zarówno lądowych jak i morskich, tem więcej, że dla zabezpieczenia, a poczęści rozwoju ekonomicznego rozległych swych posiadłości, Rosya myśli o dalszych zaborach w Azyi, które dałyby jej upragnione porty i silne punkty strategiczne. Za rzecz konieczną uważają politycy rosyjscy opanowanie Korei tudzież dostęp do Oceanu Indyjskiego przez Persyę. Ale minęły już szczęśliwe czasy, gdy kilka, najwyżej kilnaście tysięcy żołnierzy mogło posuwać się daleko w Azyi, obejmować w posiadanie rozległe ukrainy, nie osłabiając siły państwowej Rosyi w Europie, nie napotykając istotnego oporu w Azyi. *Pierwszy raz od czasu mocarstwowego istnienia Rosya musi stać w bacznej*

pozycyi na wszystkich granicach swego obszernego państwa i rozstrzeliwać swe siły we wszystkich kierunkach; w ten sposób olbrzymie jej obszary poniekąd przeciw niej się zwracają.

Przed kilku jeszcze laty w całym Amurskim kraju było kilka tysięcy wojska; dziś siły te podniesiono do 80000 z górą, pomimo drogiego utrzymania takiej siły w tej miejscowości, dalej wyasygnowano dziesiątki milionów na ufortykowanie Władywostoku i portu Artura. Rzut oka jednak na mapę Azyi wschodniej wskazuje, że rozległych z poszarpanemi zatokami i półwyspami wybrzeży bronić musi również silna flota.

I oto admiralicya rosyjska wytęża siły państwowe, aby i w tym punkcie sprostać zadaniu; 90 milionów, jak świadczył artykuł *Nowego Wremieni*, pochodzący od oficyalnej osoby, wyznaczono specyalnie dla wzmocnienia floty Oceanu Spokojnego. Również krząta się rząd rosyjski około wzmocnienia sił swych na Kaukazie i w Azyi środkowej, tem więcej, że powstanie w Andizanie okazało zadowolenie mieszkańców z panowania rosyjskiego niekoniecznie w korzystnem świetle. Polityka zaborcza w Azyi naraża z jednej strony Rosyę na konflikt z państwami europejskiemi, zwłaszcza, że w tej części świata apetyt jej nie zna granic, z drugiej zaś strony potrzebnym w tym celu uzbrojeniom sprostać jej niezmiernie trudno, a właściwie możebne jest tylko kosztem siły zbrojnej w Europie.

W tem świetle zrozumiałą jest chęć Rosyi ograniczenia uzbrojeń w Europie, ztąd nagły paroksyzm humanizmu cara i konferencya w Hadze.

Wiemy już, że ten manewr dyplomacyi rosyjskiej, obliczony na tchórzowstwo i głupotę ludów Europy, doznał fatalnego fiaska, zanotujmy sobie jeszcze, że do sparalizowania jej usiłowań przyczyniły się najwięcej te państwa, które mają widoki swe na wolną resztę Azyi (Anglia i Niemcy).

Obecnie, gdy Azya staje się głównym terenem polityki wszechświatowej, każdy krok Rosyi jest pilnie strzeżony, ponieważ zaś nie chce ona, jak również nie może zrezygnować z dalszych swych planów w tej części świata, przeto konflikt jej z państwami europejskiemi i z Japonią jest bardzo prawdopodobny.

»Na porządku dziennym jest podział Azyi, mówi prof. Delbrück — nie możemy dozwolić, aby tylko Rosyanie i Anglicy się obłowili, Niemcy i Francuzi muszą otrzymać swoją część; jeżeli będziemy dostatecznie silni, zdołamy to uskutecznić może drogą pokojową, ale nawet bardzo wiele krwi jesteśmy gotowi dla sprawy tej poświęcić»! Słowa te niemieckiego profesora są dość wymowne, a, co ważniejsza, czyny rządu niemieckiego stwierdzają, że nie pozostaną one w dziedzinie profesorskich abstrakcyi.

Dziś więc dawna kwestya wschodnia bynajmniej nie ustąpiła z widowni dziejowej — przeciwnie, rozszerzyła się ona do rozmiarów olbrzymich; dziś nie chodzi o półwysep bałkański, lecz o kwestyę panowania nad Azyą. Można zaś być zniecierpliwionym wolnym zkądinąd biegiem historyi, każdy jednak przyznać musi, że proces rozdziału kontynentów między ludy cywilizowane idzie z szybkością niezmierną, ztąd starcia interesów europejskich w Azyi będą wzrastały w sile i natężeniu.

Rosya więc ze swoją nawą państwową, olbrzymią ale szwankującą pod względem wewnętrznym, znajduje się w natychmiastowej konieczności intensywnego ekspensowania sił swych na Azyę, nadto zaś w razie konfliktu zagrożona jest wojną prawdopodobnie na dwóch frontach. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać, że rozporządza ona olbrzymiemi siłami wojennemi, nadto rząd absolutny, trzymający wszystkie siły narodu w swem ręku, jest bardzo poważnym czynnikiem. A jednak zdaje się, że zarówno, jak w poprzednich wojnach, tak i teraz okazać się, może że wojskowa jej organizacya nie stoi na wysokości opinii, że skomplikowany aparat machiny wojennej dalekim byłby od należytej sprawności. Od czasu do czasu podnosi się rąbek zasłony, pokrywającej gospodarkę wojskową i marynarską w Rosyi i ukazują się fakty, świadczące, że korupcya i demoralizacya biurokratyczna i tam się rozszerzyła. Katastrofa na Polu Chodyhskiem wprawiła w zdumienie całą Europę; zawiera ona ostrzeżenie, jak niepewnym jest mechanizm organizacyjny rosyjski i ile niespodzianek kryje przyszła mobilizacya i kampania rosyjska.

To też Rosya bynajmniej do niej się nie spieszy, rozwija ona wprawdzie swoje uzbrojenia, aby przygotować się na wszelki wypadek, a zarazem aby poprzeć niemi swoją akcyę dyplomatyczną, której przynajmniej w naszym wieku o wiele więcej tryumfów zawdzięcza, niż orężowi. Jak pomocną zaś jest dla niej przesadna opinia, o potędze jej głoszona, o tem zbyteczne byłoby się rozwodzić. »Armia na papierze, czasami tyleż jest warta co rzeczywista« powiedział w przystępie dobrego humoru Mikołaj I.

Całe jego panowanie było częściowem stwierdzeniem słuszności tych słów; jakkolwiek bowiem siła zbrojna była ciągłym celem usiłowań jego i zabiegów, wszelako powodzenia swoje dyplomatyczne nie jej zawdzięczał, lecz przesadnej i wyszrubowanej opinii, jaką cała Europa o niej miała. Program krymski rozwiał ten miraż ku zdumieniu samych zwycięzców i Zachód poznał, że Mikołaj ciążył nad nim nie dzięki swojej przewadze fizycznej, lecz wskutek małododuszności Europy.

Czyż fakt podobny nie może się powtórzyć? Najwdzięczniejszą jest rola proroka politycznego, ale nie kusząc się o nią bynajmniej, zazna-

czyć tem śmielej możemy, że na niczem nie oparte są mniemania o niezłomnej i wciąż rosnącej sile Rosyi. Ze wszystkich utopij, mówi Lange, najidyotyczniejszem jest uwiecznianie stosunków obecnych, a zdanie to zastosować należy do stosunków obecnych nietylko społecznych, lecz i politycznych.

T. Gr.

KILKA UWAG W SPRAWIE KOLONIZACYI POLSKIEJ.

Sprawa kolonizacyi polskiej należy w dobie dzisiejszej do najważniejszych zadań polityki narodowej. Naród nasz wskutek warunków politycznych pozbawiony jest możności swobodnego rozrastania się w swoich granicach naturalnych, tymbardziej rozszerzania swego terytoryum. Przeciwnie, cały szereg zarządzeń specyalnych i praw wyjątkowych w ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskiem i pruskim ma na celu powstrzymywanie naszego rozrostu, systematyczne uszczuplanie naszego terytoryum narodowego, naszej podstawy bytu.

Polityka narodu żywotnego, rosnącego w siłę i tej siły swojej świadomego, musi być zdobywczą. Tej dążności, tej konieczności przyrodzonej nie możemy należycie rozwijać. Na gruncie własnym skazani jesteśmy na prowadzenie walki przeważnie obronnej, a chociaż i tutaj zdobywamy nowe posterunki, tracimy natomiast inne. W warunkach istniejących jedynie rozwój osadnictwa polskiego w postaci kolonizacyi obszarów zamorskich może dać ujście naszym dążeniom zdobywczym, będącym wynikiem rozrastania się siły narodowej.

Ten wzgląd zasadniczy, gdyby nawet emigracya z ziem polskich była mniej liczną, niż jest obecnie, i mniej stałą, nakazywał by zwrócenie szczególnej uwagi na sprawę kolonizacyi.

Nasza opinia publiczna w sprawie wychodztwa i osadnictwa polskiego uległa znacznej zmianie w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Kiedy w r. 1887 czy w 88 udało mi się w jednym z tygodników warszawskich oszukać czujność cenzury i przemycić zdanie, że emigracya ludności polskiej jest nietylko złem koniecznem ale byłaby dziś, właściwie zorganizowana i skierowana, objawem pożądanym, to nawet większość ludzi jednakowych ze mną przekonań politycznych i społecznych poczytała to zdanie za herezyę lub za pozowanie na oryginalność poglądów. P. St. Kłobukowskiego, który wkrótce potem umieścił w *Ateneum* artykuł o emigracyi polskiej i rzucił myśl skierowania jej do południowej Argentyny i Patagonii, podejrzywano przecie, że jest

agentem rządu argentyńskiego. Nietylko zalecanie emigracyi, ale nawet przedmiotowe wykazywanie, że istnieje w szerszych rozmiarach i że jest w naszych warunkach społeczno - ekonomicznych konieczną, uważano niemal za występek przeciw sprawie narodowej. Spóźnione echo tych zacofanych i naiwnych poglądów, z dobrą wiarą wygłaszanych, odezwało się nawet niedawno. Niewątpliwie dziś jeszcze są ludzie, którym wychodztwo ludności polskiej wydaje się klęską narodową i którzy, hołdując zasadzie popularnej u nas polityki strusiej, chcieliby żeby o tym objawie nie mówiono wcale. Inni znowu, uważając wychodztwo za objaw dla sprawy narodowej szkodliwy, ale konieczny w warunkach istniejących, myślą o sposobach i środkach przeciwdziałania mu, powstrzymania go lub przynajmniej zamknięcia w pewnych granicach.

Zaznaczone wyżej poglądy odpowiadają zmianom, jakie w sprawie emigracyi i kolonizacyi przechodziła opinia wybranej części naszej inteligencyi. Bo nawet ludzie światli i trzeźwi byli w ogromnej większości bezwzględnymi, a następnie względnymi przeciwnikami emigracyi. Dziś jeszcze autorowie, piszący o kolonizacyi polskiej, zazwyczaj liczą się, chociaż już może niepotrzebnie, z uprzedzeniami opinii publicznej i poczuwają się do obowiązku dowodzenia, że emigracya jest konieczną, że zapobiedz jej nie możemy, a więc powinniśmy ją organizować. Brak nam odwagi do otwartego stwierdzenia, że nietylko należy z istniejącego wychodztwa korzystać, ale że w pewnych okolicznościach powinniśmy je nawet wywoływać i świadomie kierować· Porzuciliśmy już — mam tu na myśli większość ogółu inteligentnego — stanowisko negacyjne względem tej sprawy, ale nie doszliśmy jeszcze do przekonania, a raczej nie zdobyliśmy się na śmiałe wygłoszenie zasady, że polityka nasza w dziedzinie wychodztwa i kolonizacyi powinna być pozytywną, twórczą, protekcyjną. Dziś jeszcze poglądy, wygłaszane publicznie, są kompromisem między tem nieuświadomionem należycie i niesformułowanem wyraźnie ale istniejącem w wielu umysłach przekonaniem, a uprzedzeniami opinii publicznej, w znacznej mierze już rozwianemi.

Zaznaczyliśmy wyżej, że w tej opinii nastąpił zwrot stanowczy w sprawie wychodztwa i osadnictwa polskiego. Sprawa stała się w pewnych przynajmniej kołach inteligencyi popularną, zwłaszcza w zaborze rosyjskim i poniekąd w Galicyi. Ma się rozumieć, mówimy tu o tej inteligencyi, na której poglądy społeczne i polityczne nie wywierają przynajmniej bezpośredniego wpływu względy interesu klasowego lub osobistego. W społeczeństwie, znajdującem się w takiem stadyum rozwoju społecznego i ekonomicznego, że taniość robotnika jest uważana za niezbędny warunek pomyślności gospodarczej, w sferze przedsiębiorców rolnych i przemysłowych sprawa emigracyi i kolonizacyi nie

może być bardzo popularną. Ta warstwa społeczna zresztą, zwłaszcza klasa wielkich właścicieli ziemskich, i w innych krajach, stojących na wyższym szczeblu rozwoju kulturalnego i ekonomicznego, jest przeciwną ułatwianiu emigracyi i popieraniu kolonizacyi.

Niestety jednak, ten zwrot w poglądach na sprawę wychodztwa i osadownictwa polskiego, który od pewnego czasu widzimy w prasie warszawskiej, nie dowodzi bynajmniej, że inteligencya nasza oceniła krytycznie doniosłość społeczną i polityczną tej sprawy, że wyrobiła sobie o niej pojęcie dokładne. Zwłaszcza zdania, wygłaszane o kolonizacyi polskiej, o jej widokach na przyszłość i podstawach, są równie naiwne, równie powierzchowne, jak dawniejsze poglądy na sprawę wychodztwa. Niektóre artykuły wydawać by się mogły zamówionemi reklamami, gdybyśmy nie wiedzieli, że pisane były z dobrą wolą i w dobrej wierze. Inne, poważniejsze, grzeszą niesłychaną dowolnością, świadczą, że autorowie ich pochwytali pierwsze lepsze fakty, których wiarogodności nie umieją ocenić, których znaczenia nie pojmują, a więc i wyjaśnić nie mogą.

Dlatego właśnie, że sprawa kolonizacyi polskiej jest bardzo ważną, powinna być traktowana poważnie. A koniecznym warunkiem poważnego traktowania sprawy jest ścisłe i krytyczne jej badanie. Lekkomyślne popieranie sprawy kolonizacyi za pomocą dowolnych, naciąganych, często naiwnych lub nawet kłamliwych argumentów szkodzi jej tylko w oczach poważnych ludzi. A i opinia publiczna, która u nas łatwo się zapala, ale łatwiej jeszcze zniechęca się i stygnie, zrazić się może do sprawy niesłusznie, gdy się przekona o słabości lub niewiarogodności przytaczanych na jej poparcie uzasadnień i faktów. Nasz ogół inteligentny, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, okazuje się w podobnych wypadkach bardzo drażliwym i wrażliwym, często dla tego właśnie że o samej sprawie nie ma należytego pojęcia. U nas reklama, przynajmniej niektórym sprawom, mającym doniosłość ogólną, raczej szkodzi niż pomaga, bo nie oceniamy jej krytycznie, ale bierzemy z dobrodziejstwem całego inwentarza dodatków dziennikarskich więc, ma się rozumieć, przekonywamy się później, że sądziliśmy błędnie i rozczarowani słyszeć niechcemy o tem, co nas niedawno żywo zajmowało.

Pamiętamy, jakie zainteresowanie obudziły kilka lat temu przesadzone wiadomości o rozwoju życia narodowego polskiego w Stanach Zjednoczonych. Ci, którzy chcieli zwrócić uwagę społeczeństwa na Polaków amerykańskich, w dobrej wierze zabarwiali optymistycznie opisy stosunków tamtejszych. Wyjechali dla poznania stosunków na miejscu prof. Dunikowski, pp. Lewakowski i Balicki, jako przedstawiciele pew-

nych kół obywatelskich, wyruszyli z własnej inicyatywy prof. T. Siemiracki p. Kurcyusz i kilku innych. W Warszawie, ba, nawet na Litwie popuszczono cugli marzeniom o doniosłości przyszłej roli Polonii amerykańskiej. Skromne towarzystwa kościelne, istniejące pod szumnemi nazwami Kosynierów Kościuszki, Ułanów Pułaskiego, Rycerzy królowej Jadwigi i t. p., które przedstawiano jako organizacye wojskowe, wydawały się kadrami przyszłej armii polskiej. Nie chcemy nikogo dotykać osobiście, więc nie wymieniamy sprawców tego nieporozumienia, moglibyśmy jednak przytoczyć drukowane dowody niewątpliwego bałamucenia opinii. Zajęcie się Polonią amerykańską było tak żywe, że nawet rząd rosyjski zaniepokoił się i pułkownik Margrafskij otrzymał polecenie opracowania referatu o koloniach polskich w Stanach Zjednoczonych. A jakiż dziś wynik tego zajęcia się opinii publicznej Polakami Amerykańskimi?

Powierzchowne nawet poznanie stosunków realnych rychło rozwiało naiwne złudzenia. Plany wytworzenia terytoryów polskich w Stanach Zjednoczonych za pomocą kolonizacyi wtórnej okazały się pomysłami fantastycznymi, możebymi w teoryi, ale niemożliwymi do wykonania w warunkach istniejących, a projekty zawiązania stosunków handlowych z koloniami polskiemi niedorzeczną mrzonką. I opinia publiczna, która zajmować się zaczęła żywo Polonią północno-amerykańską, doszła a raczej przeskoczyła od przesadnej nadziei do pesymistycznego wniosku, że Polacy w Stanach Zjednoczonych muszą się wynarodowić, a więc nie warto starać się o organizowanie wśród nich życia narodowego. I ci sami ludzie, którzy o zawiązaniu stosunków z Polakami w Stanach Zjednoczonych najwięcej rozprawiali, stali się obecnie bodaj najskrajniejszymi pesymistami.

Tymczasem trzeźwo patrząc na rzeczy i nie ulegając złudzeniom, przyznać trzeba, że Polonia północno amerykańska ma, właściwie może mieć znaczenie dla naszej sprawy narodowej. Fakt, że w Stanach Zjednoczonych przebywa około $1^1/_2$ miliona Polaków, w znacznej części świadomych swej narodowości, ma dziś bardzo realną wartość polityczną i społeczną, bez względu na to, co ich czeka w przyszłości bliższej lub dalszej. Żaden naród, mający zmysł polityczny, nie lekceważyłby tak licznego odłamu swego.

Teraz przyszła kolej na kolonie polskie w Brazylii. Niewątpliwie osadnictwo polskie w Brazylii południowej, zwłaszcza w Paranie, ma dużo lepsze niż w Stanach Zjednoczonych widoki zachowania swej narodowości. Tej kwestyi nie potrzeba było nawet badać, można ją było z góry, na zasadzie elementarnych wiadomości o stosunkach tamecznych stanowczo rozstrzygnąć. Nie znaczy to jednak, że południowa Brazylia lub bodaj tylko Parana niechybnie zostanie kolonią polską, jeżeli tylko sprawą kolonizacyi w tym kraju zająć się zechcemy. Tym-

bardziej przedwczesnem i z wielu względów lekkomyślnem jest twierdzenie, że kraj ten słusznie już nazywa się Nową Polską*).

O Brazylii południowej i Paranie dostarczyli sporo wiadomości ludzie, którzy kraj ten zwiedzali w celu przekonania się o stanie istniejących tam kolonii polskich i zbadania warunków ich rozwoju; byli to pp. Siemiradzki (dwukrotnie), Hempel, Łaźniewski, Kłobukowski. I w Paranie jest kilku ludzi, którzy mogliby pewnych informacyi dostarczyć.

Te wiadomości jednak, które sprawozdania z podróży wymienionych wyżej osób zawierają, nie wiele więcej mówią o kraju i stosunkach miejscowych nad to, co znaleźć można w literaturze zagranicznej o Brazylii. Ta literatura daje nawet w niektórych kwestyach wiadomości dokładniejsze i ściślej sformułowane. Nie mam bynajmniej zamiaru zmiejszać zasługi ludzi, którzy pierwsi podjęli się zbadania kolonizacyi polskiej w Brazylii, poświęcili na to sporo czasu i pieniędzy, narażali się na trudy i rozmaite nieprzyjemności. Dr. Siemiradzki dał nam ciekawą i nie pozbawioną wartości literackiej relacyę ze swych podróży, w książce dr. Kłobukowskiego są nieraz zajmujące i oryginalne spostrzeżenia osobiste, a on sam w ciągu dwuletniego pobytu w Brazylii dużo zrobił dla rozbudzenia i zorganizowania życia narodowego w koloniach, namawiał do zakładania towarzystw i szkółek, sprowadzał pisma i książki polskie i t. d. Ale o stosunkach handlowych i wogóle gospodarczych, o stosunkach społecznych i prawno-politycznych, w artykułach i książkach o Brazylii autorów naszych znajdujemy zazwyczaj tylko wiadomości luźne lub ogólnikowe, nieraz bardzo ciekawe, może nawet samodzielnie zaobserwowane, ale nie mające wartości praktycznej. Najpiękniejsza dziewczyna nie może dać więcej, niż ma — powiada przysłowie francuskie — p. Siemiradzki przyrodnik i p. Kłobukowski, teoretyk-ekonomista dali nawet więcej, niż wolno było od nich wymagać, ale mniej niż potrzeba, żeby społeczeństwo mogło nabrać dokładnego pojecia o warunkach kolonizacyi polskiej w Paranie i wogóle w południowej Brazylii. Stwierdzili tylko osobiście, co *a priori* łatwo było powiedzieć, że kolonizacya polska może się tam pomyślnie rozwinąć.

Oto wszystko, co pozytywnie wiemy o osadnictwie polskiem w Brazylii południowej. Po za tem wszelkie twierdzenia, chociażby najbardziej kategoryczne o rozwoju tego osadnictwa, o jego przyszłości są dowolne, często sporne, często być może prawdziwe, ale nie dowiedzione, nie uzasadnione należycie.

---

*) Właściwie Nową Polską nazwano już dawno grupę starych kolonij polskich w okolicach Kurytyby, założonych po r. 1870, nazwano wtedy, kiedy Polacy stanowili nieznaczny odsetek ludności Parany.

Tymczasem te informacye niedokładne, czasem widocznie fantastyczne prasa nasza podaje jako fakty pewne i z nich wysnuwa wnioski bardzo śmiałe. I te bałamutne informacye, te wnioski dowolne przedkładają się opinii publicznej wtedy właśnie, kiedy sprawa osadnictwa polskiego w Brazylii zaczyna wchodzić na drogę realną, kiedy powstało we Lwowie Towarzystwo kolonizacyjne, kiedy znalazło się wreszcie kilku ludzi, którzy, posiadając wiadomości fachowe lub kapitały, zamierzają poważnie przystąpić do zakładania przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych.

Weźmy dla przykładu bodaj najpoważniejszy z artykułów o kolonizacyi polskiej w Paranie, zamieszczony niedawno w *Głosie* warszawskim, a będący właściwie streszczeniem broszury, wydanej w celu zjednania opinii publicznej dla świeżo zawiązanego »Towarzystwa kolonizacyjnego«. Zarówno informacyjna, jak rozumowana część tej broszury mogą tylko skompromitować w oczach ludzi trzeźwych i poważnych to wielce pożyteczne przedsięwzięcie.

W tonie reklamy, której niewłaściwość w danym wypadku odczuje nawet gruboskóry i nieinteligentny filister, zaleca się Parana: »Kraj niezaludniony, klimat przyjemny, wyżyna podrównikowa (?), sięgająca wysokości Tatr, bogato zroszona rzekami, obficie zalesiona najwspanialszemi drzewami, a nadto (?) pokryta stepami i pastwiskami, nadaje się do pracy rolniczej i pasterskiej w sposób, nieulegający krytyce (!), a bogactwa mineralne w przyszłości otworzą nowe źródła zamożności dla kolonistów (węgiel, nafta, sól, srebro, złoto, miedź, antymon, rtęć, marmur)«. Szkoda, że nie dodano jeszcze dyamentów, są podobno w Paranie!

Styl i treść tej iście jarmarcznej reklamy mogą po prostu ośmieszyć Towarzystwo kolonizacyjne. Czytelnik, posiadający jakie takie pojęcie o warunkach geograficznych Parany i wie np., że kraj ten ma nizki nadbrzeżny pas z klimatem niezdrowym i gorącym. Zarazem zaś każdy człowiek, mający zmysł polityczny, zrozumie, że własnie w tym pasie nadmorskim kolonizacya polska, bez względu na ofiary, jakie ponieść trzeba, przedewszystkiem rozwinąć się powinna. »Nowa Polska« bez przystępu do morza, chociażby nawet żywioł nasz opanował ją zupełnie, podzielić by musiała los Starej Polski.

A teraz przyjrzyjmy się wiadomościom statystycznym.

Wszystkie pisma powtarzają, jako fakt niewątpliwy, że Parana ma na ogół 250.000 mieszkańców, w tem 100.000 Polaków. Zkąd się wzięły te cyfry, kto je pierwszy, na jakiej podstawie podał, dochodzić nie będziemy. Zaznaczymy tylko, że są zupełnie dowolne. Przedewszystkiem wydaje nam się trochę wątpliwą cyfra 100.000 Polaków w Pa-

ranie, ale przyjmujemy ją bez sporu, tymbardziej, że w broszurze o której wspomnieliśmy, zdążyła już wyrość w dwójnasób. Dane urzędowe statystyki brazylijskiej z r. 1888 (późniejszych mniej więcej dokładnych nie ma) podają ludność Parany na 187.000, oprócz dzikich Indyan. Licząc przyrost tej ludności na 2% rocznie, otrzymamy na rok 1899—228.000. W tej cyfrze mieścić się powinno najwyżej 20.000 dawniej osiedlonych Polaków, których, według szczegółowych obliczeń kapitana Müldnera, było w r. 1889 najwyzej 15.000. Ponieważ obecnie ma być Polaków 100.000, więc do 228.000 dodać należy 80.000, t. j. liczbę imigrantów polskich, osiedlonych po r. 1888, wraz z przyrostem naturalnym. Wypada więc, że Parana powinna mieć najmniej 308.000 ludności. Chyba jednak w tym okresie czasu przybyło trochę imigrantów innych narodowości, Niemców, Włochów i td. Sądzimy więc, że cyfra 320.000 nie będzie wygórowaną, a wtedy odsetek ludności polskiej, do której zaliczono i Rusinów galicyjskich, wypadnie inaczej, zwłaszcza jeżeli do ogółu mieszkańców dodamy dzikich Indyan w liczbie przynajmniej 30.000 (w r. 1888 rachowano nawet 50.000). Nie będziemy się spierali o dokładność naszych obliczeń, (chociaż popularna encyklopedya angielska podaje ludność Parany w r. 1898 na *circa* 400.000), ale zaznaczymy, że cyfry nasze mają przynajmniej jakąś podstawę, kiedy cyfry 250.000 ludności Parany i 100.000 Polaków są wyssane z palca. Być może, że są one blizkie prawdy, ale są zupełnie dowolne, a w sprawach poważnych nie należy tak igrać cyframi.

W artykule *Głosu* ta igraszka idzie jeszcze dalej. Ni ztąd ni zowąd obwieszcza nam p. Z. Kwietniewski, że w Paranie i w sąsiednich pograniczach jest 200 do 280 tysięcy ludności polskiej, Już sama różnica 80.000 każe nam podejrzywać wiarogodność tych cyfr i pozwala przypuszczać, że zarówno niższa jak wyższa są dowolne. Mówiliśmy już, że w r. 1899 liczono w Paranie około 15.000 ludności polskiej; ponieważ było trochę Polaków i w stanie Santa Catharina, a może i w Rio-Grande do Sul — weźmy ogółem 20.000. W r. 1890 i 91 według urzędowych wykazów rosyjskich wyemigrowało z Królestwa z górą 40.000 ludzi. Powiadają, że ta cyfra jest za nizką, że należy ją podwoić. Zgadzamy się i na to, zaznaczymy jednak, że w r. 1891 powiększyła się odrazu w czwórnasób liczba emigrujących z Królestwa do Stanów Zjednoczonych, że część emigracyi zmarniała w innych stanach brazylijskich, że parę tysiący wychodzców przeniosło się do Argentyny, a sporo wróciło do kraju. Wykazy urzędowe brazylijskie, ogłoszone w swoim czasie w tymże *Głosie*, podają — jeżeli dobrze pamiętamy — liczbę emigrantów polskich trochę większą od przytoczonej w wykazach urzędowych rosyjskich. Przypuśćmy więc, że osiadło w trzech stanach połu-

dniowych 60.000 ludzi. Razem było w r. 1891 Polaków w południowej Brazylii 80 000 i tyle mniej więcej wówczas liczono. W ciągu ośmiu lat przyrost naturalny 2%, daje 12.800, dla okrągłości weźmy 15.000, chociaż w pierwszym zwłaszcza roku pobytu śmiertelność dochodziła niekiedy do 10%. Emigracya z Galicyi w r. 1895 i 96 dała nie więcej nad 20.000, przeważnie Rusinów, rachujemy jednak z przyrostem naturalnym 25.000. Wreszcie od 1891 do 1899 przybyło drobnemi partyami 10.000. Rachując hojnie, mamy dopiero 130.000 ludności polskiej. Ale dlaczego mamy sobie żałować, dodajmy jeszcze 20.000. Otrzymamy możliwie najwyższą cyfrę 150.000, od której dosyć daleko do 200 a tymbardziej do 280.000 Polaków »w Paranie i pograniczach«.

W jaki sposób fabrykują się te wygórowane cyfry, pokazuje inny ustęp z artykułu p. Kwietniewskiego, *respective* z broszury. »Emigranci polscy z Prus liczą się na 38.000 w r. 1882 z Królestwa od r. 1891 do 1897 wypłynęło 91.480. Z Galicyi w r. 1891 wyszło 46.000. Są to ogromne liczby«.

Istotnie są ogromne, o ile są wiarogodne, czego w danej chwili szczegółowo sprawdzić nie możemy. Ale nie dają bynajmniej pojęcia o liczebności emigracyi polskiej, bo są tendencyjnie z różnych lat wybrane, z lat, przedstawiających *maximum* ruchu wychodczego w różnych dzielnicach. Najprzód cyfra 38.000 oznacza nie wychodzców Polaków z Prus, ale wychodzców z prowincyj polskich, a więc i Niemców. Powtóre po r. 1882 zamorskie wychodztwo polskie z Prus stopniowo zmniejszać się zaczęło a w latach ostatnich niemal zupełnie ustało. Nie mamy pod ręką danych, dotyczących emigracyi z Galicyi w r. 1891, nie mogła ona jednak być tak znaczną. W r. 1892 wyemigrowało z całej Austryi około 38.000. Normalna emigracya z ziem polskich wynosi od 30 do 40.000 rocznie. Jest to cyfra poważna, która znacznie wzrasta w latach »gorączki emigracyjnej«. W naszych warunkach politycznych i społecznych wybuchy niespodziewane tłumnego wychodztwa są prawdopodobne, zwłaszcza w Galicyi i Królestwie, np. gdyby zamknięto granicę pruską dla robotników polskich z tych dzielnic, wskutek nieurodzaju w Galicyi, zastoju przemysłowego w Królestwie itd. Nawet wychodztwo z zaboru pruskiego może się wznowić, gdyby nastąpił kilkoletni zastój w przemyśle niemieckim. Ale tych prawdopodobieństw nie należy przedstawiać jako objawów normalnych i nie ma powodu sztucznie zwiększać znacznej liczebności wychodztwa polskiego, wystarczającej dla rozwinięcia na szeroką skalę kolonizacyi polskiej.

Powiedzieliśmy już wyżej, że takie uzasadnienie lekkomyślne i *passons le mot* — blagierskie powstania Towarzystwe kolonizacyjnego może tylko temu przedsięwzięciu i w ogóle całej sprawie organi-

zowania osadnictwa polskiego zaszkodzić. Rzecz w pomyśle poważna powinna być poważnie, trzeźwo i krytycznie oceniana.

Niewłaściwem jest również i zgoła niepotrzebnem wykazywanie niezwykłej jakoby rentowności zamierzonego przedsiębiorstwa. Podział kolonizacyi rolniczej na 3 okresy, zapewne według jakiegoś schematu niemieckiego, nie odpowiada stosunkom realnym i nie dowodzi wcale, że kolonizacya w pierwszym okresie, niefortunnie nazwanym »małowłościańskim«, daje niezłe zyski i nie wymaga dużego kapitału. Przykład towarzystwa hamburskiego, które zaczęło z kapitałem 300.000 marek i robi swietne interesy, niczego nie dowodzi, bo można przytoczyć inne towarzystwa, które na kolonizacyi bankrutowały.

Obiecywanie, że udziały od 50 zł. mogą »uróść do wysokości, nie dającej się dziś określić« i że Towarzystwo może dawać nawet 50% dywidendy nikogo nie zachęci. W danym wypadku daleko silniej przemawiać będzie interes publiczny, niż zysk osobisty. Ludzi niezamożnych, którzy wezmą udziały po 50, 100 zł, nie wiele obchodzi, czy będą mieć 5, 10 czy 20% dywidendy. Wysokość dywidendy nie zaimponuje również ludziom zamożnym, którzy, biorąc udziały po kilkaset lub kilka tysięcy zł, zaangażują zaledwie drobną cząstkę swych kapitałów. A chyba nawet najbardziej optymistycznie usposobieni inicyatorowie Towarzystwa nie przypuszczają, że zgłaszać się do niego zaczną wielcy kapitaliści z wkładami, wynoszącymi setki tysięcy.

Tych zraziło by odrazu lekkomyślne traktowanie całej sprawy, jako interesu finansowego i jako przedsięwzięcia, mającego cel społeczny. Z artykułów dziennikarskich, ba, nawet z broszury sądzić można, że zebranie kapitału 150.000 zł. pchnie sprawę kolonizacyi polskiej na właściwe tory i stworzy dla niej podstawę. Tymczasem czytamy dalej, że ten kapitał w ciągu kilku lat pozwoli osadzić 800 rodzin. Ta cyfra osadników nie bardzo chyba wzmocni żywioł polski w Paranie. Ale nie dosyć tego, dowiadujemy się następnie, że po dokładniejszem obliczeniu potrzeba kapitału 350.000 zł. ażeby w ciągu 7 lat osadzić 1.000 rodzin.

Z tego wszystkiego wynika, że Towarzystwo kolonizacyjne może być bardzo dobrym interesem dla swych członków i pożytecznem przedsięwzięciem publicznem, nawet przy stosunkowo niewielkim kapitale. Ale jeżeli chce choć w części odpowiedziec tym zadaniom, jakie sobie zakreśla i jakie mu opinia publiczna przypisuje, to musi rozporządzać dużo większymi środkami finansowymi. Tu nie dziesiątków, nie setek tysięcy potrzeba, lecz milionów. I nietylko należy to uświadomić sobie, ale i głośno powiedzieć. Społeczeństwo nasze dało stopniowo na Bank ziemski w Poznaniu 3 miliony marek i z pewnością dziś da drugie tyle, gdy zajdzie potrzeba, chociaż kierownicy tej insty-

tucyi nie obiecywali dużych zysków ani nie wykazywali świetnych rezultatów swej działalności. I na Towarzystwo kolonizacyjne znajdą się pieniądze, bo sprawa jest niemniej ważną, a więcej nawet do ofiarności podniecającą, gdyż łatwiej i prędzej można doczekać się jej rezultatów widomych. Ale ogół inteligentny musi być przekonanym, że sprawą kierują ludzie, którzy jej doniosłość rozumieją i którzy potrafią prowadzić ją rozważnie i umiejętnie.

Perspektywą zysków a tymbardziej nieudolną reklamą nie zjedna sobie Towarzystwo kolonizacyjne tych ludzi, którzy materyalnego lub moralnego poparcia potrzebują. Ci, którzy tego rodzaju środkami probują poruszyć opinię publiczną, szkodzą instytucyi i sprawie osadnictwa polskiego. Chcąc pozyskać dla sprawy opinię publiczną, trzeba przedstawić jej cel wielki, poważny i szeroki program działalności, ale przedstawić tak, żeby przemówił zarówno do serca, jak do rozumu. Łatwiej zdobyć miliony na wielką sprawę, niż tysiące na drobne przedsiębiorstwo, chociażby użyteczne i obiecujące znaczne zyski.

Widzimy duży rozmach tam, gdzie go być nie powinno — w rzucaniu dowolnemi cyframi i faktami, w wyliczaniu rzeczywistych i bardzo wątpliwych (mineralnych) bogactw Parany, w określaniu stopy przewidywanego zysku i przyszłej wartości udziałów. Natomiast tam, gdzie byłby potrzebny — przy kreśleniu programu działalności i zadań towarzystwa — nie ma go wcale. Ostatecznie rzecz cała redukuje się do pozyskania skromnej sumy 150.000 zł. która pozwoli osadzić w Paranie w ciągu lat kilku 800 a może tylko, według ściślejszego obliczenia, 400 rodzin.

No, przecie w taki sposób nie można budować »Nowej Polski« w Brazylii ani chociażby organizować osadnictwa polskiego. Dla takiego rezultatu nie warto niepokoić, ani tymbardziej bałamucić opinii publicznej. W takim zakresie działania Towarzystwo kolonizacyjne stanie się zwykłem przedsięwzięciem parcelacyjnem, tem różniącem się tylko od innych podobnych przedsiębiorstw, że kierownictwo jego znajdować się będzie o parę tysięcy mil od miejsca właściwego działania.

Zwłaszcza jeżeli istotnie zamierza »ściągać przedewszystkiem do Parany Polaków, rozsypanych po stanach Santa Catharina i Rio Grande do Sul«. Wyraziliśmy już dawniej zdanie nasze o tej niefortunnej koncentracyi i obraziliśmy drażliwych lwowsko-parańskich patryotów nazwaniem Parany »kurnikiem«. Istotnie, wobec wielkich przestrzeni państw kolonialnych Parana, »kraj dwakroć obszerniejszy od Królestwa Polskiego« jest drobiazgiem. Rzut oka na mapę wskazuje, że Parana znajduje się między dwoma wyżej wymienionymi stanami południowymi i resztą Brazylii, że więc w tym kraju, z dwóch stron ściśniętym, żywioł

polski nie miałby warunków swobodnego rozwoju. Pojmujemy, że skoro nasze plany kolonizacyjne ograniczyć się dziś muszą osadzaniem corocznie paruset rodzin, należy ograniczyć się kolonizacyą Parany i tam się przedewszystkiem umocnić. Ale przenosić do Parany Polaków z Santa Cathariny i Rio Grande do Sul i to wtedy, gdy się przewiduje, że zczasem żywioł polski rozszerzy się na te stany, znosić posterunki już istniejące, wiedząc że je kiedyś trzeba będzie znowu tam stawiać, to jest polityka, którą przewyższa niedorzecznością chyba tylko projekt usunięcia jedynej kolonii polskiej z pasu nadmorskiego w głąb kraju. Godnem uzupełnieniem takiej polityki jest upatrywanie świetnej przyszłości ekonomicznej żywiołu polskiego w Paranie w tym fakcie, że zajmuje się on niemal wyłącznie uprawą zboża, podczas gdy Niemcy, Włosi itd. przeważnie plantują tytoń, krzew winny, kawę itd. Czyż w tych poglądach i projektach nie odradza się zaiste ta polityka i ta ekonomia szlachecka, z których pierwsza zgubiła państwo, a druga kraj zubożyła.

Są to — może ktoś powie — spory *de lana caprina*, bo juści ani Towarzystwo kolonizacyjne, ani ludzie, którzy nawet zapewne bez jego upoważnienia aczkolwiek w jego imieniu i o jego zadaniach piszą, nie zmienią warunków rozsiedlenia osadnictwa polskiego chociażby częściowo niedorzeczny zamiar do skutku doprowadzili, ani nie zamkną rozwoju ekonomicznego ludności polskiej w Brazylii w ciasne ramy gospodarki rolnej, wyłącznie uprawie zboża poświęconej. Ale fakt, że takie poglądy wygłaszają nawet ludzie, którzy dla sprawy kolonizacyi polskiej istotnie coś zrobili i gorliwie się nią zajmują, którzy są poniekąd przedstawicielami jej wobec społeczeństwa, upoważnia do pesymistycznego wniosku, że nie jesteśmy jeszcze przygotowani do celowego prowadzenia tej sprawy, że jeszcze istoty jej i znaczenia nie rozumiemy. Tych zaś, którzy doniosłość sprawy należycie ocenić mogą, takie poglądy zrażają jeżeli nie do niej, to do jej niepowołanych przedstawicieli. *J. Nieborski.*

GUBERNIA WILEŃSKA W ŚWIETLE RZĄDÓW »DOBROCZYNNYCH«.

I.

Jedną z naszych wad najpospolitszych jest zupełna nieznajomość danych statystycznych, które przecie winny służyć za podstawę naszych sądów, rozumowań i programów działania. Najpowszechniej my Polacy z zaboru rosyjskiego mamy opaczne lub mgliste pojęcia o Galicyi, Śląsku i W. Ks. Poznańskiem, lub naodwrót; nie wspomnę tu już o oburzającej wśród inteligencyi nieznajomości sąsiednich prowincyj.

Bo i to się zdarza, niestety, nader często, że dla niejednego mieszkańca Królestwa, Wilno lub Kowno, zaledwie jest znanem z imienia.

Objęcie statystyką, choćby najogólniejszą, całej Litwy jest pracą zbyt poważną, aby się tu o nią można pokusić. Na początek tedy zaczniemy od jednej gubernii, mianowicie wileńskiej i, posuwając się z czasem dalej, nie traćmy z widoku tak pożądanego końca.

Dodajmy tu jeszcze, iż przeważnie opierać się będziemy na źródłach urzędowych rosyjskich i tylko w miarę potrzeby i wyraźnego fałszu, co się zdarzać będzie często, zdobędziemy się na konieczne poprawki.

Zresztą wystarczą i te cyfry urzędowe, ażeby przekonać, jak okropnym jest ucisk na Litwie, jak marnym jest opiekuńczy rząd rosyjski.

Wileńska gubernia obejmuje przestrzeń 37371,3 wiorstw kw., lub 3892843 dziesięcin, lub 42528,9 kilometrów kw. Widzimy tedy, iż obszarem jedna ta gubernia przenosi trzy gubernie Królestwa Polskiego, stanowiąc część trzecią całej jego przestrzeni.

Pod względem bogactw mineralnych jest nader uboga; co się zaś tyczy dobroci gleby, bynajmniej nie ustępuje ona przeciętnym glebom Królestwa. Jest atoli w jednej tej gubernii niesłychana rozmaitość ról uprawnych, począwszy od pasów czarnoziemu i glin ciężkich, a nie wykluczając i rzetelnych szczerków.

A przecież lud niemal wszędzie jest biedny, a ziemianie, po wycięciu lasów, wiodą żywot smutny w ciężkim ucisku wileńskiego Banku ziemskiego, o ile nie są dyrektorami tegoż, magnatami z urodzenia lub wyjątkowo szczęśliwymi spekulantami.

Krom wielu współczesnych przyczyn ekonomicznych, o usunięciu których nikt dotąd nie myślał, w pierwszym rzędzie przyczyną ubóstwa i niemocy jest sam rząd i jego tyloletnia zgubna dla kraju działalność.

Na całej przestrzeni gubernii nie mamy *ani jednej* szkoły rolniczej — to dość, aby zrozumieć źródło zła.

W r. b. przyznano nam wprawdzie Towarzystwo rolnicze, lecz od działalności jego nikt nie oczekuje jakiegokolwiek pożytku, gdyż od chwili narodzin już tę działalność spętano zupełnie. A więc zniesiono stanowisko prezesa z wyboru, nakazując nim być marszałkowi gubernialnemu z urzędu, skasowano nawet stanowisko wice-prezesa, a program obrad każdego posiedzenia oddano pod uprzednią kontrolę gubernatora. Jednem słowem zrobiono wszystko, ażeby młode zgromadzenie skazać z góry na rolę figurantów lub też stopniowo przyuczać do aportowania z ręki rządu podsuwanych łotrostw.

Nie braknie wskazań, że nasz marszałek gubernialny, Adam hr. Plater, już tylekroć zasłużony na polu ogłupiania współrodaków i wysysania ich, osobiście się starał o takie ograniczenia dla nowego towarzystwa. Snadź obawiał się biedaczysko, że ogół ziemian nareszcie się ocknie z odrętwienia i odrzuci jego wstrętne usługi. Wszakże sprawa jeszcze nieukończona; ogół ziemian zamierza wystąpić z protestem do ministra rolnictwa lub jest zdecydowany na usunięcie się od towarzystwa.

I my mamy tedy swoich »stańczyków«, na walkę z którymi trzeba tracić czas i siły drogocenne.

Ludność gubernii wileńskiej wynosi 1,647.654 osób płci obojga, która to ilość dzieli się podług wyznań na:

974.045 katolików,
402.358 prawosławnych,
241.362 żydów.

Na pozostałą liczbę około 30.000 składają się luteranie, kalwini, sektanci i mahometanie.

Urzędowego podziału na narodowości dziś niema; z prywatnych jedni nazywają wszystkich katolików Litwinami, inni zaś — Rosyanami katolickiego wyznania. Jedyne poważne źródło — spis jednodniowy — jest dla publiczności zupełnie niedostępny. Jeśli się czasem mówi o Polakach, to zawsze z oburzeniem i zaciętością i przypuszcza się ich ilość bardzo nieznaczną i to w miastach lub też śród ziemian — szlachty.

Podobnież radzą sobie Litwomani. Możemy tedy postawić tylko liczby przybliżone, choć niewątpliwie prawdziwe.

Zdarzyło się nam słyszeć głosy poważnych Litwinów-narodowców, którzy ogólną liczbę mówiących po litewsku w wileńskiej gub. podają na 200 tysięcy; przyjmujemy tedy tę liczbę bez oporu. Znajomość kraju daje nam prawo sądzić: 1. Że ogólna ilość prawosławnych podana na 402.358 jest fałszywa, gdyż obejmuje bardzo poważną kategoryę byłych unitów, którzy nie chcą być ani prawosławnymi ani Rosyanami. 2. Że ta ilość również nie wskazuje Rosyan, lecz zbiorowo: Rosyan, Białorusinów i Polaków.

Bardzo prawdopodobnem jest, iż Polaków i Rosyan jest po $^1/_4$ a $^1/_2$ wypada na Białorusinów; co do wyznania również $^1/_4$ należy doliczyć do ogólnej liczby katolików.

Z ogólnej masy katolików 974.045 po odliczeniu 200 tysięcy na Litwinów, można również zaledwie $^1/_4$ odliczyć na Białorusinów.

Po dokonaniu wszystkich tych poprawek najzupełniej, słusznych otrzymamy dwa nowe i jedynie właściwe podziały ludności wileńskiej gubernii.

1. Podług religii:

katolików . . .	1,074.634
prawosławnych . .	301.769
żydów *	241.362
i innych wyznań . .	29.889
razem . . .	1,647 654

2. Podług narodowości:

Polaków . . .	531.123
Białorusinów . . .	605.922
Litwinów . . .	200.000 *)
Żydów	241.362
Rosyan	62.000
innych narodowości .	7.247
razem j. w. . .	1,647.654

Powyższy rachunek jest zupełnie słuszny i jakże on inaczej wygląda od tych danych urzędowych lub, przy ich braku, wobec tych monstrualnych fałszów rozsiewnnych przez rząd i jego służalców, że Litwa i Białoruś należą do odwiecznych ziem rosyjskich i — czysto rosyjskich.

Dla ścisłości musimy tu jeszcze dodać, że wielu Białorusinów mówi także po polsku, jak również, że z powyżej wykazanych 200 tysięcy Litwinów znakomita większość rozumie język polski a w części posługuje się nim w stosunkach codziennych.

II.

Pod względem administracyjnym gubernia dzieli się na siedm powiatów: wileński, trocki, święciański, dziśnieński, lidzki, wilejski i oszmiański i liczy oprócz Wilna: 6 miast powiatowych, 2 miasta nieetatowe, 84 miasteczek 10910 siół i wiosek.

Jak się rząd dobroczynny zachowuje wobec innych wyznań poza swojem prawosławiem przekonywa nas najlepiej poniższy rachunek. Na ogół prawosławnych 301.769 istnieje parafii prawosławnych z cerkwiami aż 161, gdy na całą liczbę katolików 1,074.634 parafii katolickich jest tylko 159. Na jedną tedy parafię prawosławną i cerkiew wypada tylko 1874 parafian, gdy na jedną parafię i kościół katolicki aż 6.759 parafian. To znaczy, iż każdy prawosławny ma niemal 4 razy większą łatwość pełnienia swych obowiązków religijnych niźli katolik. W praktyce zaś spotykamy sprzeczności już wprost oburzające: jest sporo cerkwi po zabranych kościołach, które nie bywają otwierane przez całe miesiące dla braku pobożnych, a do kościołów lud częstokroć musi je-

*) Liczba podana według źródeł litewskich a zatem bezwątpienia nie za nizka.

ździć po mil 3, 5 lub dalej. Do takich cerkwi należy np. cerkiew w Duksztach przerobiona z kościoła zbudowanego w 1858 r. ze składek niemal całej Litwy i w. in.

W podobnym stosunku również jak 4 do 1, lub znacznie jeszcze większym, rząd wydaje na utrzymanie duchowieństwa prawosławnego i katolickiego, co zaś do wydatków na cerkwie i kościoły — tu nie może być mowy o jakiemkolwiek porównaniu, gdyż na cerkwie asygnują rokrocznie kolosalne sumy, a na kościoły jeszcze przed rokiem niemal nic, a dziś — jeno marne grosze.

Tak okrutnie rozegrana przed pięciu laty sprawa o kościół w Krożach dotąd wisi w powietrzu: kościół stoi zamknięty i próżno kołaczą o to parafianie w prośbach do tronu. W ostatnich czasach kazano tym wszystkim, którzy dotąd podpisywali prośby, złożyć zobowiązania piśmienne przed władzami co do zaniechania tych próśb do cesarza na przyszłość.

Nawet więc prosić już tym biedakom nie wolno.

Mieszkańcy gminy *Podbrzezie* (o 4 mile od Wilna), gdzie najohydniej nawracał na prawosławie książę Szachowskij z kozakami, dotąd również napróżno proszą o prawo zbudowania kościoła. Oni już nawet nie śmią prosić o oddanie dawnego, krwią i potem własnym wzniesionego, a dziś zamienionego na cerkiew, pustkami stojącą przez rok okrągły.

Ze sprawą wykształcenia dzieje się podobnie jak ze sprawą religii.

W wileńskiej gub. jest ogółem 1.646 szkół, a w nich 50.000 dzieci uczących się.

Bezwzględnie mała ta liczba szkół i uczniów spada do niezwykłych rozmiarów, gdy się odejmie: po 1) 690 szkółek parafialnych prawosławnych lub po dozorem cerkwi zostających i 2) 697 szkół żydowskich. A razem 1396 zakładów naukowych, niczem zgoła nie przyczyniających się do podniesienia oświaty w ogromnej większości ludności naszej gubernii. Ogół ludności, prócz Żydów i prawosławnych Rosyan ma 250 zakładów naukowych czyli na 1.283.359 ludności, co stanowi stosunek, dziś nigdzie w Europie niespotykany. Oczywiście, że te same zakłady kształcą również Rosyan i Zydów i dodajmy Rosyan w stosunku wyraźnie unormowanym ze szkodą dla wszelkich innych narodowości.

Tak widzimy, iż w szkołach ogólnie-kształcących z całej liczby 3.355 uczniów na prawosławnych wypada 50,8$^0/_0$, a na katolików, 32,1$^0/_0$; w szkołach ludowych, z ogółu uczniów 16.698 na prawosławnych 43,1$^0/_0$, a na katolików 51,5$^0/_0$, w szkołach zawodowych z całej liczby 603 uczniów — na prawosławnych 29.7, a na katolików 43, 4, co

znaczy, iż we wszystkich 250 szkołach ogólnych wileńskiej gubernii prawie równą jest liczba uczniów prawosławnych i katolików, mimo iż liczba katolików $3^1/_2$ raza jest większą od liczby prawosławnych.

A o ileż jeszcze stosunek powyższy się zmieni po dodaniu uczniów wspomnianych 699 szkół cerkiewno-parafialnych, w których katolik jest rzadkością.

Jakoż oto co mówią cyfry urzędowe: Na 100 dzieci prawosławnych 51,3 przechodzi przez szkołę, a na 100 katolickich — tylko 12,7. A więc dzieci prawosławne mają przeszło cztery razy więcej sposobności zdobycia choćby elementarnego wykształcenia.

Lud tedy polski, litewski i białoruski, pomijając już sprawę małej ilości szkół, nawet do istniejących szkółek nie posyła świadomie swych dzieci z obawy o ich zruszczenie, w szkołach zaś średnich rządowych i zawodowych z woli rządu władze tylko pewien procent uczniów przyjmują.

Do powszechnie znanych i stale powtarzających się zjawisk, należą następujące. Z dwóch współubiegających się do zakładu naukowego zawsze bywa, przyjęty prawosławny, choćby miał znacznie gorsze stopnie na egzaminach, które podług prawa jedynie mają rozstrzygać w wypadkach podobnych. Wszystkie fundusze z zapisów prywatnych i stypendya stale bywają udzielane tylko prawosławnym, o ile nie są ściśle zamknięte co do rodów i nazwisk. — Zwolnienie od opłaty szkolnej z powodu ubóstwa otrzymują tylko prawosławni. A niezależnie od tego wszystkiego ogół nauczycieli *zawsze* i *wszędzie* skory jest do okrutnego prześladowania katolików i opieki, częstokroć wprost występnej, — dla prawosławnych. Znane są przecież wypadki bezkarności dla uczniów gimnazyalnych prawosławnych, który całe noce spędzali na pijaństwie i karciarstwie, który fałszowali podpisy i kwity dla wyłudzenia datków od kupców lub otworzenia sobie kredytu, którzy nakoniec okradali kolejno skarbonki zarówno w cerkwiach, jak w kościołach.

Uczniowie zaś katolicy bywali usuwani z gimnazyów nawet za to, iż mieszkali w domach, zbyt »duchem polskim« przejętych.

A któż spamięta i zliczyć zdoła cały ten szereg ukłuć dotkliwych i prześladowań barbarzyńskich, które idą co krok, są stosowane względem ogółu i jednostek?

III.

Cała gubernia liczy 1171 fabryk i różnych zakładów przemysłowych. Znaczna ta względnie ilość traci znaczenie, skoro się zważy iż $^2/_3$ jej stanowią zakłady o rocznej produkcyi niżej 1.000 rb. Niespełna tedy mamy 400 fabryk i zakładów nieco większych, których część trzecia

mieści się w samem Wilnie. Ogólna wytwórczość wynosi 8,961.182 rubli rocznie, z czego przypada połowa na samo Wilno. Na 1.000 ludności gubernii jest tylko 6 robotników fabrycznych, co daje miarę nizkiego stopnia przemysłowego rozwoju i stanowi jedną z przyczyn ubóstwa gubernii.

Wszakże przemysł rozwija się stale i najsilniej na korzyść właścicieli Polaków i Żydów; Rosyanie ogólnie biorą w nim udział nader ograniczony.

Rzemieślników, ściśle biorąc, jest bardzo dużo, lecz z małymi wyjątkami wyroby są liche, gdyż muszą być tanie; specyalnie kwitnie kwitnie fuszerka śród Żydów, którzy doprowadzili też wynagrodzenie za pracę do *minimum*. Coroczna emigracya z tych sfer zbiera stałe i najobfitsze żniwo.

Nasza arystokracya rodowa rzuca się wprawdzie do przemysłu lecz rzadko dobrze na nim wychodzi, za to najchętniej otwiera takie zakłady, jak piwiarnie, cukiernie, restauracye, kawiarnie i t. p., a zawsze na wielką skalę.

Czyżby to jedno zajęcie było dla nich dostępnem i najmilszem?

Zresztą mamy w gubernii kilka większych garbarni, kilkanaście cegielni, trochę młynów, kilka wielkich browarów, dwie huty żelaza, i jak przystało, sporo większych gorzelni. Dwie duże fabryki wyrobów żelaznych i stalowych, jak nie mniej dwie dwie duże papiernie zostają w rękach Żydów i Niemców.

A szkoda bo ludność w ogólności jest uzdolniona do pracy przemysłowej i dość chętna.

Nie mniej smutnym jest stan handlu w gubernii zarówno wewnętrznego jak tranzytowego. Wprawdzie spotykamy cyfry urzędowe dość imponujące, bo aż przeszło 20 tysięcy świadectw handlowych, w ciągu roku wydanych, ale te cyfry to... jeno pozory. Co warta ta liczba 20 tys. najlepiej świadczy okoliczność, iż w r. 1897 odrazu ilość świadectw podskoczyła o 8 tysięcy rocznie, a to z powodu wprowadzenia monopolu widczanego. Cały ogrom szynkarzy (więc Żydów) przerzucił się wtedy na pole drobnego kramarstwa.

To też dziś miasta i miasteczka przepełnione są wrzawą kramarską, ale na tem tracą jeno spożywcy, otrzymując towar coraz lichszy, a handel rzetelny ogólnie nic nie zyskuje.

Wszakże i tu można zaznaczyć słaby postęp ku lepszemu i to na korzyść Polaków. W czerwcu r. b. kupiectwo wileńskie ocknęło się nareszcie z trzydziestoletniej drzemki i postanowiło przywrócić swojemu zgromadzeniu moc prawną stanowienia starszego zgromadzenia i rozporządzania składkami, przez siebie na ten cel przeznaczonemi. Przez

te lat trzydzieści obowiązki starszego sprawował Zarząd miejski, obowiązki ani zbyt ciężkie ani też skomplikowane i za to brał kilka tysięcy rubli rocznie, nie zadając sobie trudu nawet składać jakiego takiego wykazu przychodu i rozchodu.

Ot, kradli sobie poprostu p. p. bracia, a tem smutniejsza, iż kradli sami niemal Polacy i Litwini z jednym tylko głową, Moskalem, na czele.

Lecz przepraszamy — to ani Polacy, ani Litwini ani Białorusini, to — *Siewierozapadneńcy*. Oto ztąd powstała ta nowa narodowość ku zbudowanu etnografów obu półkuli.

W połowie lipca r. b. Trockij, generał-gubernator wileński, zażądał od miejskiego zarządu i rady szczegółowych wykazów, jakiej religii, i narodowości są ich członkowie, jak również ile lat mają służby i rubli rocznej pensyi.

Rzecz prosta, że w łonie Rady miejskiej i zarządu powstała panika niezwykła, gdyż posądzają p. Trockiego (może i słusznie), że i w skromnych, a dotąd otwartych dla katolików gałęziach służby publicznej, pragnie *nowe drogi* zakreślić.

I cóż tedy, myślicie, zrobili szanowni ojcowie miasta, odpowiadając na pytania co do narodowości? Może przychodzi wam na myśl nowy przykład Poznańczyków, Ślązaków lub Czechów? Ani trochę. Nasi członkowie zarządu »*jak jeden mąż*« odpowiedzieli zgodnie, że są »siewierozapadnoj« (północno-zachodniej) narodowości; tylko kilku radnych zostało Polakami, nieco więcej Litwinami, inni zaś pisali się Mohylewczanami, Mińszczanami i t. d.

Biedne to imię polskie, na jedno skinienie Trockiego, aż tylu znalazło zaprzańców. Lecz co najgłupsze w tem wszystkiem, że ci panowie dziś głoszą o swym sprycie i są najmocniej przekonani, że wyprowadzili w pole nietylko Trockiego, lecz i samego Pobiedonoscewa.

Znamy straceńca, który ma stałą i dziwną tęsknotę do kozy moskiewskiej, jeszcze nie zaznawszy jej smaku otóż młodzian ten dowodzi, że każdy dobry Polak musi być uczciwym i dobrym człowiekiem. Radzibyśmy, aby tak było, ale w to nie wierzymy, natomiast, według nas prawdziwszem jest zdanie, że tylko uczciwy i dobry człowiek może zostać dobrym Polakiem (lub Litwinem). Znosimy tedy przymus niejako żywiołowy a szeroko odkrywamy wrota osobistej zasłudze i własnej uświadomionej i szlachetnej dążności.

IV.

Nie pozbawionemi głębszego znaczenia są również cyfry, ilustrujące ogólną dążność rządu opanowania najdrobniejszych instytucyi i strumyków życia społecznego.

Wiemy już wszyscy zbyt dobrze, że na Litwie nie masz marszałków szlachty z wyborów, dotąd nie zatwierdzono nigdy »głowy« miejskiego w Wilnie katolika; nie masz również katolików w biurach rządowych, w sądownictwie, w policyi, w różnych wydziałach okręgu naukowego, zresztą we wszystkich instytucyach rządowych. Ale może mało kto wie o tem, że rząd także stara się o to, aby w najdalszej prowincyi, na najniższych szczeblach życia społecznego umieścić swoich działaczy *obrusienija* i prawosławia.

Cały ogół siół i wiosek gub. wileńskiej wynoszący 10.010 jednostek, składa 148 gmin (*wołosti),* których ogólne kierownictwo leży w rękach pośredników i specyalnego wydziału w rządzie gubernialnym.

Czyż potrzebujemy uwydatniać, że samorząd gminny jest na Litwie jeno martwą literą? Już od Murawiewa wskazywano chłopom urząd *starszyny* (wójta) jako nagrodę za przejście na prawosławie i osiągano cel zamierzony śród Białorusinów niejednokrotnie.

Odtąd wszyscy pośrednicy zgodnie działają w tym duchu, ażeby, o ile można tylko prawosławni otrzymywali stanowiska wójtów, lecz, jak zaraz zobaczymy, nie zupełnie się to udaje.

Otóż na 148 gmin i tyleż wójtów (starszyn) było w ostatnim roku:

96 katolików
52 prawosławnych.

Najwyższe tedy wysiłki rządu zaledwie tyle wskórały; znający stosunki wiedzą dobrze, iż wszędzie w gminach z prawosławnym »starszyną« najwięcej jest pijaństwa i innych nadużyć.

Za to, z drugiej strony, tam, gdzie niema wyborów, a decyduje pośrednik, t. j. przy naznaczeniu pisarzy gminnych spotykamy prawie wszędzie tylko prawosławnych.

Tak, w 148 gminach było pisarzy:

prawosławnych 139
katolików 9.

Znamiennym, choć zupełnie zrozumiałym jest fakt, że w powiecie wilejskim, a zwłaszcza w gminach, przylegających do Mołodeczna, najwięcej jest wójtów prawosławnych i ani jednego pisarza katolika. A tłomaczy się to tem, że w Mołodecznie właśnie miał swoją ulubioną siedzibę, jaskinię łupieztwa i »obrusitielstwa«, znany działacz wileński, kurator okręgu naukowego, Siergiejewskij, który wywierał swoją obecnością najsilniejszy nacisk na wszystkie władze powiatu przez długie lata (od r. 78).

Dziś Siergiejewskiego zastąpił Popow, dotąd kurator kazańskiego okręgu naukowego. Jakim zaś będzie — przyszłość pokaże.

Co się tyczy zarządów miejskich, te w miastach powiatowych i 2 nieetatowych (Radoszkowicze i Druja) składają się niemal wyłącznie z Polaków. Żywioł mieszczański najmniej liczy śród siebie Rosyan i na to już żaden Trockij ani Siergiejewskij poradzić nie może.

Miasteczka zaś przeważnie, a nierzadko wyłącznie są zaludnione przez Zydów, którym prawo nie pozwala dzierżyć w swych ręku papierów, pieczęci i pieniędzy zarządów mieszczańskich.

Cóż tedy było robić w wypadkach nader licznych, kiedy literalnie nie było w miasteczku żadnego Polaka, ani Moskala, ani Litwina, którzyby mogli zostać starostami mieszczańskimi?

Starostami *do czasu* zostawali Żydzi, lecz pieniądze, księgi i pieczęcie powierzano komuś z drobnych, niepiśmiennych nawet rolników-mieszczan i w ten sposób radzono dobrze i prawu niby czyniono zadość.

W 84 miasteczkach jest obecnie starostów mieszczańskich:

20 katolików,
2 starowierców,
2 prawosławnych
i 60 żydów.

Oba tedy urządzenia autonomiczne, w wioskach i siołach z jednej strony, a miasteczkach z drugiej, spoczywają na fałszywych podstawach i ani trochę nie przyczyniają się do pożądanego rozwoju gmin wiejskich i miejskich.

Ludowi naszemu grozi zewsząd prawosławie i »obrusienje«, a naszemu drobnemu mieszczaństwu istny potop od nawały zdemoralizowanego i zruszczonego żydowstwa.

Niechże o tem pamiętają ci wszyscy, którzy się nareszcie zbudzili do twardego i ofiarnego poczucia obowiązków względem własnego narodu i społeczeństwa; niech więcej jeszcze pamiętają o tem ci wszyscy, którzy dotąd drzemią w skorupach egoistycznych interesów i potrzeb.

Litwin.

Z CAŁEJ POLSKI.

Znieprawienie opinii publicznej jako skutek polityki ugodowej. Wiązanka wymownych przykładów. Sprawa taktyki politycznej w zaborze pruskim. Kilka uwag z powodu zjazdu słowiańskiego w Krakowie.

Najszkodliwszem bodaj następstwem obłędu ugodowego jest, jak zaznaczaliśmy niejednokrotnie, demoralizacya polityczna. W naszem mieszczańskiem społeczeństwie są ludzie — a między ugodowcami było ich najwięcej — którzy w działalności politycznej rządzą się zasadą

geszefciarską: kupić — nie kupić, potargować można. Tym zdawało się, że i w polityce można w podobny sposób załatwiać interesy bez dalszych, bezpośrednich lub pośrednich następstw. W rozmowach prywatnych, nawet w artykułach dziennikarskich często powtarzano argument, że próbując akcyi ugodowej, nic przecie nie tracimy, bo w najgorszym razie wrócimy do *status quo ante.*

Ten argument, odpowiadający powszechnemu u nas »uproszczonemu« pojmowaniu zjawisk politycznych i społecznych, jest tak naiwny i niedorzeczny, że nie warto nawet z nim polemizować. Zaznaczyć jednak trzeba skutki, dziś już widoczne, nieudanego interesu ugodowego w dziedzinie moralności publicznej. Akcya ugodowa już przez to samo, że rozluźniła węzły karności narodowej, że była przeniewierzeniem się nakazom dotychczas obowiązującej etyki obywatelskiej, wywrzeć musiała wpływ znieprawiający. Wyzwoliła ona instynkty nikczemne, uprawniła w pewnej mierze względy poziome korzyści osobistej w działaniu publicznem. Ostatni, 4-ty numer *Pochodni* warszawskiej daje sporą wiązkę luźnych faktów, mających wszakże wspólny rys upadku moralności publicznej.

Pisaliśmy już o obywatelach łomżyńskich, obchodzących jubileusz naczelnika powiatu Liszewa w kompanii z żandarmami i urzędnikami moskiewskimi. Tenże Liszew we wsi Olszowie za pieniądze, wyduszone z chłopów i ofiarowane z dobrej woli przez dziedziców, wystawił pomnik na pamiątkę... pobytu cara w tej miejscowości. Spędzono chłopów z krzyżami i chorągwiami, a miejscowy proboszcz poświęcił pomnik, chociaż mógł tego nie zrobić i pozostawić zaszczyt święcenia popu.

W korespondencyi z Łodzi czytamy:

»W ostatnich latach coraz częściej zdarzają się fakty, świadczące o znacznem obniżeniu poczucia narodowego wśród księży. Zadziwiająca jest doprawdy ślepota duchowieństwa, które nie widzi, że podrywa sobie kredyt moralny wśród budzącego się pod względem świadomości narodowej ludu. W poblizkich Chojnach proboszcz Naumowicz przy każdej sposobności występuje przeciwko oświacie, każąc palić książki świeckie; traktuje przy tem parafian po grubijańsku, nie przebierając w słowach i w ten sposób nie przyczynia się do podniesienia powagi sutanny. — Wikary jednej z okolicznych parafii namawia ludzi, pracujących w polu podczas galówki, by rzucili robotę i poszli modlić się za cara. Nie sprawdziliśmy jeszcze tego ohydnego faktu, tymczasem więc nie podajemy nazwiska. — W tutejszej parafii św. Krzyża, od chwili objęcia tejże przez prałata hrabiego Łubieńskiego dzieją się dziwne rzeczy. Oto, gdy Łódź polszczy się coraz szybciej, gdy pastorzy powiększają ilość nabożeństw polskich i wydają polskie modlitewniki, kościół katolicki zaczyna

się germanizować. Fakty: od wiosny roku zeszłego wprowadzono niemieckie nabożeństwa majowe (odbywają się przed polskiem). Podczas tegorocznej procesyi Bożego Ciała, między jednym ołtarzem a drugim śpiewacy na przemian śpiewali po polsku i po niemiecku. Nieszpory odśpiewują obecnie po łacinie — dawniej po polsku. Wreszcie coraz częściej spotkać można ludzi. narzekających na niemożność chodzenia do kościoła, bo »co rusz, to trafisz na niemieckie kazanie«.

P. Wawelberg daje pieniądze na założenie 16 bibliotek ludowych rosyjsko-polskich w gubernii piotrkowskiej, baron Kronenberg ofiarował niedawno 100 rs. na budowę cerkwi w Przasnyszu, na ten sam cel fabrykant Dietel złożył 25 rs.

Ci panowie są świeżymi Polakami, albo, jak Dietel, nie przyznają się nawet do polskości, ale dawniej bali by się w podobny sposób zasługiwać rządowi, albo by się wstydzili.

Jeszcze lepsi, t. j. jeszcze podlejsi są rdzenni, rodowici Polacy. W Kielcach obywatele ziemscy mianują Moskala-urzędnika członkiem honorowym Towarzystwa rolniczego. Gubernatorowi Szczyrowskiemu urządzają objad pożegnalny, na którym grają role błaznów i pochlebców.

»Tegoż Szczyrowskiego na uczcie polskiej, urządzonej z powodu otwarcia wystawy rolniczej w Radomiu — niejaki Stanisław Pomorski, obywatel z Sandomierskiego — uczcił mową. wypowiedzianą p o r o s y j s k u. Obiecujący ten młodzieniec liczy sobie lat 30 i był członkiem stowarzyszenia ryskiego »Arkonia«. Pan Władysław Grodziński, prezes Dyrekcyi miejscowej Tow. kred. ziem., na tejże uczcie w »mówce«, wypowiedzianej również p o r o s y j s k u, podnosił zasługi pomocnika gen. gubernatora — Podgorodnikowa. Zaś po pijatyce »szanowni« uczestnicy takowej ze zrozumieniem roli »bywałych« lokai — odwieźli panów dygnitarzy na pociąg«...

Po księżach, finansistach i obywatelach ziemskich przyjrzyjmy się przedstawicielom inteligencyi. Od pewnego czasu rząd, ścieśniając coraz bardziej działalność warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, gorąco popiera filantropię prawosławną przy pomocy Czerwonego Krzyża. Chcąc zyskać zaufanie ludności polskiej, powołała ta instytucya do swoich ambulatoryów lekarzy Polaków obok Moskali. Ci Polacy pracują bezinteresownie *ad majorem gloriam* prawosławno-rusyfikacyjnej instytucyi, no, i *ad captandam benevolentiam* wysokiej władzy. A wysoka władza ma szerokie zamiary. *Warszawskij Dniewnik* radzi znieść lekarzy fabrycznych i powierzyć wszystkich robotników opiece Czerwonego Krzyża, za »odpowiedniem wynagrodzeniem przez fabrykantów«. Lekarzom nie ustępują literaci, ba, przewyższają znikczemnieniem inne »zawody liberalne«. Wspominamy gdzieindziej o tych, którzy są współpra-

cownikami pism rosyjskich. Dotam tu tylko, że np. dawniej p Krzywicki, kiedy był wojującym z patryotyzmem kosmopolitą, wstydził się pisać do dzienników rosyjskich. Teraz już się nie wstydzi, chociaż podobno chce uchodzić za patryotę *sui generis*.

P. Gawalewicz urządza do spółki z urzędnikami Moskalami teatr ludowy w... maneżu żandarmskim. P. Wołowski, autor tak patryotycznych opowiadań, że aż czasem patryotyzm kłócił się w nich z sensem, ożywia działalność łódzkiego kuratoryum trzeźwości, które już zamierało, bo nikt z porządniejszych Polaków nie chciał mu pomagać. W porozumieniu z naczelnikiem żandarmskim p. Wołowski podjął się zorganizowania w Łodzi zabaw ludowych i samowolnie ułożył listę gospodarzy. Znaczna jednak większość zaproszonych odmówiła udziału i na zabawę przybyli przeważnie żydzi rosyjscy. Na zabawach członkowie komitetu trzeźwości siedzą w czapkach, a p. Wołowski stoi przed nimi z odkrytą głową.

Jeszcze lepiej spisał się krewniak p. Wołowskiego, redaktor *Wieku*, »ojciec komedyi polskiej« p. Kazimierz Zalewski, bo zadenuncyował przed cenzurą swego współpracownika p. P... że ten pisze korespondencye z Warszawy do lwowskiego *Ruchu katolickiego*.

W Piotrkowie cykliści miejscowi z adwokatem Bronikowskim na czele podczas przejazdu Imeretyńskiego wylegli w pełnym rynsztunku na ulicę, tworząc jakby banderyę. Kiedy Imeretyński odjeżdżał, na dworcu ukazała się nawet tłumnie płeć piękna, współzawodnicząca w łojalizmie z mężczyznami...

W innem miejscu piszemy o wyroku, wydanym w sprawie związku młodzieży katolickiej w Królewskiej Hucie, wyroku, oburzającym głupotą i dowolnością. Z powodu tego wyroku *Orędownik* postawił pytanie: jakiej taktyki trzymać się powinny towarzystwa polskie wobec zachowania się względem nich władz i sądów pruskich.

»Nasuwa nam się tu pytanie, które nam już dawno po głowie chodzi czyby dla polskich stowarzyszeń nie było praktyczniej, aby nie zawsze i nie wszędzie dochodziły praw swoich, ale podług okoliczności stosowały się do wymagań policyi?«

»Dla lepszego rozumienia postawmy rzecz inaczej: czy nasze stowarzyszenia mają wytężać swe siły na obronę praw swoich przeciw policyi, czy też stosować się do wymagań policyi, a za to oszczędzać czas, trud i znaczny pieniądz i, jak się da, pilnować tylko zadań naszych stowarzyszeń?

»Powtarzamy: że tu nie chodzi nam o żadne zasadnicze kwestye, tylko o praktyczną stronę i rzecz przedstawia się nam tak:

»Gdy w naszych stowarzyszeniach wysuniemy naprzód obronę ich praw przeciw policyi, wtedy zarządy muszą prowadzić procesy, narażać

się na żmudę czasu, mitręgę, koszta i kary sądowe i w ostatecznym rezultacie jesteśmy tak daleko, jakeśmy byli, bo przepadamy z obroną naszych praw.

»Skoro więc — na tej drodze — nie możemy dojść do żadnego rezultatu, to lepiej wstąpić na inną drogę: a więc zaniechać obrony praw przeciw policyi, i wypełniać żądania policyi. Wtedy też nie będą miały stowarzyszenia zabezpieczonych praw swoich, ale za to zaoszczędzą sooie czas, koszta i kary sądowe, a więc — praktycznie rzeczy biorąc, w drugim przypadku będzie jeszcze zawsze jakiś zysk dla stowarzyszeń.

»Przy chwilowem zawieszeniu dochodzenia praw swoich stowarzyszenia nasze stracą na swobodzie w swoim rozwoju; ale przy dochodzeniu praw swoich narażają się na wielkie koszta, co także ludzi zniechęca i odstrasza od stowarzyszeń, a więc też krępuje ich swobodę.«

Jakkolwiek *Orędownikowi* chodzi tylko o praktyczną stronę, porusza on kwestyę zasadniczą i niezmiernie doniosłą. Organ ruchu ludowego mówi dalej, że stałe »zaniechanie dochodzenia praw swoich strasznie by się zemściło na naszym rozwoju i wychowaniu obywatelskiem«, doradza więc zmianę taktyki tylko na »czas przejściowy«. Z tego wyrażenia sądzić by można, że tłumienie rozwoju narodowego polskiego uważa *Orędownik* za stan przejściowy, tymczasem sam on niejednokrotnie i bardzo rozumnie dowodził, że polityka rządu pruskiego względem Polaków ma tendencyę stałą, niezależną od okoliczności czasowych. W artykule, z którego przytoczyliśmy dłuższe wyjątki, znajdujemy słuszną uwagę, że »im więcej nasze warstwy średnie i lud będą zaznaczały swój postęp w świadomości narodowej i dobrobycie, im wyraźniejszy będzie i wydatniejszy współudział w tem naszych stowarzyszeń«, tym gorszy będzie nacisk na nie. Więc, rozumując »po ludzku«, ten nacisk chyba wtedy zostanie zwolniony, kiedy praca stowarzyszeń będzie mniej wyraźną i wydatną, kiedy w warstwach średnich i ludzie postęp świadomości narodowej i samodzielności społecznej będzie powolniejszy albo zupełnie się zatrzyma. Polityka pruska zmieni się wtedy chyba, kiedy okoliczności zewnętrzne lub wewnętrzne do zmiany ją zmuszą. Walka o prawo, uporczywa, systematyczna bezwzględna, taką właśnie konieczność wytworzyć może. W dodatku ma ona znaczenie polityczno-wychowawcze, jest znakomitą szkołą działalności publicznej. Nauka w tej szkole drogo kosztuje, za drogo może na nasze środki. Trzeba więc te koszty zmniejszyć. trzeba unikać powodów do zatargów, chociaż rząd te powody sam mnożyć będzie. Niewątpliwie towarzystwa polskie powinny być bardzo ostrożne, w wielu wypadkach powinny może raczej zredukować swoją działalność, niż narażać się na zatargi z władzami, za któremi stoją z zasady sądy pruskie. Skoro jednak pomimo tej przezor-

ności zatarg nastąpi, należy bronić praw swoich energicznie i prowadzić sprawę *usque ad finem*. Nauka będzie kosztować drogo, ale się opłaci wzrostem świadomości narodowej i społecznej.

Zjazd dziennikarzy słowiańskich, urządzony w końcu września w Krakowie wywołał taką różnorodność i sprzeczność zdań, że warto o nim, a raczej o tych zdaniach spokojnie *post factum* pomówić.

Czytelnicy stali *Przeglądu wszechpolskiego* znają nasz pogląd na t. zw. wzajemność, czyli, inaczej mówiąc, solidarność słowiańską. Ta wzajemność rozszerzona na wszystkie narody i plemiona, które mówią językami słowiańskimi, jest mrzonką, nie mającą żadnej podstawy realnej. Pokrewieństwo rasowe, bardzo zresztą wątpliwe, bo właściwie nie ma odrębnej rasy słowiańskiej w znaczeniu antropologicznem, ani pokrewieństwo językowe, tak zresztą dalekie, że jeden naród słowiański drugiego nie rozumie, nie mogą być kitem, spajającym w jedną całość odrębne indywidualności narodowe, z których każda ma swoją własną kulturę i swoje własne interesy, często przeciwne interesom pobratymców. Kulturalnie i duchowo bliżsi są nam Niemcy, Francuzi, Anglicy, niż Rosyanie lub Bułgarzy, pod niektórymi względami nawet niż Czesi i Rusini. Głębokie, zasadnicze różnice umysłowości i kultury, których znieść nie mogła kilkusetletnia wspólność życia państwowego, utrudniają nam bardziej zgodne pożycie z Rusinami niż sztucznie wytwarzana i zaostrzana umyślnie sprzeczność interesów.

A jednak chociaż nieuzasadniona idea wzajemności słowiańskiej, wytwór filologów, poetów, i marzycieli politycznych, istnieje. Wyzyskiwała ją i wyzyskuje polityka praktyczna, Rosya wybiła z niej kapitał, z którego ciągnie dziś znaczne zyski. Wobec tego nasuwa się nawet trzeźwym, realnym politykom pytanie, czy jednak my Polacy nie powinniśmy z tej wzajemności słowiańskiej korzystać też dla naszych celów i zadań narodowych.

Nie przeczę bynajmniej, że jest to w danej zwłaszcza chwili niebezpiecznem ze względu na stan bezładny naszej opinii publicznej, na skłonność jej do zbaczania na manowce polityczne. Istotnie, dziś polityka słowiańska idzie »z Rosyą i pod Rosyę«, jak powiedział p. Madeyski. Ale dlatego właśnie byłoby może pożądanem, żebyśmy na tę politykę w przeciwnym kierunku oddziaływali, nie możemy zaś oddziaływać, odsuwając się od niej ze wstrętem i pogardą.

Niebezpieczną jest każda polityka, niewłaściwie prowadzona. Nie mamy, niestety, żadnej rękojmi, że nasi mężowie stanu i nasi dziennikarze potrafią poprowadzić umiejętnie politykę słowiańską w szerszym zakresie. Już na zjeździe słowiańskim i z powodu jego wygłaszano różne głupstwa, które mogą tylko bałamucić opinię publiczną, biorącą ją do-

słownie. Mówiono np o połączeniu Słowian tak samo, jak o zjednoczeniu się Niemców lub Włochów.

Ale w zakresie ciaśniejszym, w granicach monarchii austryacko-węgierskiej polityka słowiańska jest realnie uzasadnioną. Jest ona słowiańską siłą faktu bo w Austryi narody słowiańskie walczą o równouprawnienie polityczne w imię wspólnego interesu. Złamanie przewagi żywiołu niemieckiego w Austryi, przekształcenie ustroju tego państwa w duchu federalistyczno-autonomicznym jest dla naszej polityki narodowej zadanien równie ważnem, jak dla polityki narodowej Czechów lub Słowian południowych. A walka toczy się w samej rzeczy nietylko z żywiołem niemieckim w Austryi, lecz z całą potęgą niemczyzny tak nam wrogą.

Bardzo rozumną i pożądaną jest czujność na wszelkie objawy moskalofilstwa w naszem społeczeństwie. Walka z Rosyą, z jej dążeniami i wpływami, jest zadaniem naczelnem naszej polityki narodowej i ta walka powinna być systematyczną, uporczywą, nieubłaganą.

Wykazywaliśmy niejednokrotnie, że w tej walce nie może być wytchnienia, nie może być kompromisu. Ale równie systematyczną, uporczywą, nieubłaganą winna być walka nasza z polityką Prus właściwie z polityką Niemiec. Wróg na Zachodzie jest równie dla nas groźny, jak wróg na Wschodzie. Tymczasem my o tem nazbyt często zapominamy. Co więcej, skłonni jesteśmy widzieć w Niemcach jakby sojuszników w walce z Rosyą. Jestto właśnie uwiecznianie w polityce, wniosków, wyciągniętych z położeń chwilowych. Istotnie dziesięć lat temu, a nawet niedawno jeszcze położenie polityczne tak się przedstawiało, że była możliwość starcia się zbrojnego Niemiec z Rosyą a wymagania ówczesne polityki narodowej nakazywały nam stanąć w przyszłej walce po stronie Niemiec. Ale sytuacya międzypaństwowa oddawna się już zmieniła, antagonizm zaś pomiędzy Rosyą a Niemcami nie jest bynajmniej czynnikiem stałym, do którego musielibyśmy stosować zawsze naszą politykę.

Nie wolno nam zapominać, że Niemcy są takimi samymi wrogami naszej niepodległości narodowej, jak Moskale, może nawet niebezpieczniejszymi, ze względu na swój interes własny. Dążenia polityczne i wpływy duchowe niemczyzny są tak samo dla narodowości naszej niebezpieczne, jak dążenia i wpływy rosyjskie.

Dziś stosunki tak się układają, że jednocześnie zaostrzać się musi nasza walka narodowa z Rosyą i z Niemcami. Musimy przyjąć konsekwencye tego stanu rzeczy, bo zmiana jego nie jest od nas zależną. A więc będzie to walka na dwa fronty — powiedzą. Niewątpliwie, ale taką walkę od stu lat prowadzimy pomimo klęsk strasznych i zawodów

dotkliwych z dodatnim na ogół skutkiem, bo jednak rośniemy w siłę. Jak w w walce z Rosyą nie powinniśmy oglądać się na sojusz z Niemcami, tak walka z Niemcami nie wymaga bynajmniej sojuszu z Rosyą. Możemy wytrwać i wytrwamy sami, ale to nie znaczy, że powinniśmy odtrącać innych sojuszników, chociażby chwilowych, z którymi nas łączy interes wspólny.

Zjazd dziennikarzy słowiańskich był w dzisiejszych stosunkach zupełnie właściwym. Zaznaczając to, nie twierdzę bynajmniej, że inicyatorowie jego i uczestnicy odpowiedzieli swemu zadaniu. W rozprawach padały często zdania bałamutne i niedorzeczne. Zajście z p. Rozwodą, która zarzucił prasie czeskiej moskalofilstwo, było niezręcznie załagodzone. Należało tę sprawę podnieść i wyjaśnić, chociażby się uprzejmości względem gości słowiańskich uchybiło, należało przedstawić dobitnie i wyraźnie sprawę stosunku Polaków do Rosyi, chociażby to się tym gościom nie podobało i wywołać mogło ostre starcie się zdań. Ale urządzenie manifestacyi rzekomo patryotycznych przeciw zjazdowi i gościom słowiańskim było nieprzyzwoitem i niedorzecznem. Socyaliści galicyjscy wogóle, a p. Daszyński w szczególności mają w ten interes, żeby ich uważano za bardzo gorących patryotów polskich, Przypuszczam zresztą, że się szczerze na patryotyzm nawrócili, ale jak wszyscy neofici są nad miarę gorliwymi i, od niedawna »pracując w patryotyzmie« nie umieją jeszcze dobrze oryentować się w położeniu. Sądzili, że manifestacya, przeciw zjazdowi zjedna im przynajmniej w pewnych kołach inteligencyi popularność i nada rozgłos.

Tymczasem opinia publiczna potępiła manifestacyę jako wybryk, nietyle karygodny, ile żakowski.

Zaprotestował również przeciw zjazdowi ks. Stojałowski, ale z innych zgoła powodów. Ksiądz prałat ogłosił w moskalofilskim *Hałyczaninie* list, w którym oświadcza, że zjazd nie jest słowiańskim, ale szowinistycznie polskim. »Słowiański« zjazd, urządzony w Krakowie bez bez Rusinów i przez tych samych ludzi, którzy codzień napadają i obsypują obelgami Ruś, Rosyę (!) i wszystkich, którzy solidarność słowiańską we właściwem pojmują znaczeniu, jest w moich oczach, co najmniej ironią, i dlatego ja w takim zjeździe nie mogę i niechcę brać udziału.«

Dziwna rzecz, wychodząc z różnych stanowisk i innemi dążąc drogami, w końcu jednak, w wynikach praktycznych, *les beaux esprits se rencontrent.*

J. L. Jastrzębiec.

LISTY WARSZAWSKIE.

Jutrzenka Program tego pisma. Niebezpieczeństwo nowych sposobów propagandy lojalizmu. Kłamstwa *Kraju*.

X.

12 października.

Donosiliście już dawniej o zamiarze wydawania przez rząd pisma ludowego. Otóż zamiar dochodzi do skutku i od Nowego Roku książę Imeretyński wystąpi w roli wydawcy. Redaktorem organu gadzinowego będzie niejaki p, Łoginowskij, urzędnik do szczególnych poruczeń, dotychczasowy redaktor rosyjskiej *Biesiedy*, wydawanej dla b. unitów. P. Łoginowskij werbuje już współpracowników i ma podobno nadzieję pozyskania kilku wybitnych... szubrawców.

Udało mi się dostać zatwierdzony przez Imeretyńskiego i aprobowany w Petersburgu program nowego pisma; podaję ten dokument w dosłownym przekładzie:

1. Dział moralno-religijny: żywoty świętych i nauki *(nastawlenija)* pasterskie, oparte na nauce wiary kościoła rzymsko katolickiego.

2. Kronika wypadków życia bieżącego: *a*) miejscowego *(kraj priwislinskij)* rosyjskiego i zagranicznego; wiadomości dotyczące Najjaśniejszego Pana i osób rodziny cesarskiej oraz działań rządu rosyjskiego zagranicą.

3. Dział prawny: wyjaśnienia istniejących i nowoogłaszanych praw, głównie dotyczących niższych klas ludności kraju *priwislinskiego*. Odpowiedzi redakcyi na pytania czytelników treści prawnej.

4. Beletrystyka: opowiadania i powieści, mogące zająć czytelników z prostego ludu, wiersze i ustępy z dzieł pisarzy wzorowych, utwory ludowe, legendy, pieśni, przysłowia i t. d.

5. Dział popularno-naukowy: wykład w artykułach dostępnie napisanych prawd naukowych z dziedziny geografii, kosmografii, historyi naturalnej i *w pewnej mierze* (*otczasti*) *historyi.*

6. Dział artykułów gospodarczych, głównie dotyczących rolnictwa we wszystkich jego gałęziach, w zastosowaniu do warunków kulturalnych i klimatycznych kraju *prywislinskiego;* praktyczne uwagi i wskazówki, użyteczne w życiu powszedniem prostego ludu; odpowiedzi redakcyi na pytania, dotyczące gospodarstwa wiejskiego.

7. Dział zdrowotności ludu: artykuły o medycynie i hygienie, o różnych chorobach, o sposobach poznania ich, o środkach zapobiegania chorobom i leczenia ich, prawidła hygienicznego sposobu życia dla ludności wiejskiej i niższych klas ludności miejskiej.

8. Dział artystyczny: rysunki ilustrujące treść artykułów, portrety Najwyższych osób oraz znanych działaczy państwowych i społecznych, widoki miejscowości, godnych uwagi.“

Program, jak widzimy, obszerny i zręcznie ułożony. Z początku wyglądałby nawet niewinnie gdyby go nie naszpikowano „najwyższemi“ i „wysokiemi“ osobami. Podkreśliliśmy umyślnie w dziale piątym dyplomatyczne wyrażenie o artykułach historycznych. Sam p. Łoginowskij wygadał się, że o historyi polskiej pisać obecnie nie można... Ma się rozumieć, bo nawet artykuły faktyczne wydają się niebezpiecznymi, a tendencyjne przekręcanie dziejów polskich w początkach istnienia pisma byłoby dla celów jego niepożądanem, odsłoniłoby właściwy charakter tego przedsięwzięcia gadzinowego.

Podobno do działu moralno-religijnego — tak zapewnia p. Łoginowskij — arcybiskup Popiel obiecał wydelegować księdza, prawomyślnego zarówno pod względem religijnym, jak politycznym Nazwiska delegata już podobno upatrzonego nie można się jednak dowiedzieć. Po księdzu Popielu wszystkiego spodziewać się trzeba nieraz już bowiem pomagał rządowi w znieprawianiu ludu polskiego, pomagał nie ze złej woli, ale z tchórzostwa przedewszystkiem, a następnie z braku rozumu politycznego. Zbierają przecie księża na Czerwony Krzyż, który jest ogniskiem propagandy prawosławnej, zbierają na głodnych w Rosyi, na pomniki, uwieczniające pobyt cara i t. d. Czynią to z musu, pod naciskiem, ale nie pod naciskiem władzy świeckiej tylko swojej władzy duchownej. Współudział duchowieństwa, obecność chociażby jednego księdza w redakcyi *Jutrzenki* jest dla rządu rzeczą nader ważną. Bez księdza pismo upaść by musiało, ksiądz może je od upadku uchronić, będzie bowiem w oczach czytelników z ludu tarczą, osłaniającą redakcyę. Jakkolwiek dziś nastrój duchowieństwa jest bardziej patryotyczny, niż kilka lat temu jeszcze, znajdzie rząd wśród niego niewątpliwie chętnych współpracowników i to nietylko w szeregach zdecydowanych szubrawców i tajnych odstępców, ale i między ambitnymi księżmi, spodziewającymi się, że na tej drodze dojdą do zaszczytów lub przynajmniej tłustych prebend.

Założenie nowego pisma, podobnie jak urządzanie kuratoryów trzeźwości i zabaw ludowych, jest realizacyą stopniową programu politycznego, którego zarysy znajdują się w znanym memoryale Imeretyńskiego. „Tych — pisze *Pochodnia* — którzy nigdy nie mieli złudzeń co do istotnych zamiarów rządu, krok ten nie zadziwi, — to dalszy ciąg stuletniej walki; wróg zagrażający nam dotąd zzewnątrz, wślizga się do wnętrza społeczeństwa w nadziei poderwania korzeni,

któremi ono wrasta w ziemię; ta sama ręka, którą dawniej odparorowywaliśmy bronią, która zdusiła naszą wolność polityczną, dzisiaj radaby jak polip pocichu opleść nasze warstwy ludowe, aby ostatecznie zwalić z nóg naród i dobić. Wszystkie nowe przedsięwzięcia rządowe, dotyczące oświaty ludu, to jedynie mają na celu; owe czytelnie po wsiach i miasteczkach, kuratorya z herbaciarniami i zabawami ludowemi, zapowiedziane odczyty i ta wreszcie powstająca *Jutrzenka.*“

Przeciwdziałanie nowemu zamachowi na naszą odrębność narodową jest trudniejszem, niż w innych wypadkach. Nie trzeba zaś łudzić się nadzieją, że *Jutrzenka* na razie nie znajdzie czytelników. Przedewszystkiem jawnie o szkodliwości jej ostrzegać nie będzie można nawet pośrednio. Znajdą się zapewne wśród czytelników zawieszonej *Zorzy* liczni łatwowierni biedacy, którzy pomyślą, że to ich gazetka taką nazwę przybrała. Bodaj umyślnie w tym celu tytuł *Jutrzenka* nowemu pismu nadano. Wśród czytających chętnie pisma ludowe sporo jest jeszcze nieuświadomionych politycznie, ci na lep pójdą. Wreszcie organ rządowy będzie usilnie propagowanym zwłaszcza wśrod tych, którzy dotychczas żadnych pism nie czytają, wśród najciemniejszych a więc najpodatniejszych do demoralizacyi. *Jutrzenkę* będą musiały prenumerować zarządy gminne, szkoły i t. d. Już obecnie władze rządowe organizują zbieranie prenumeraty, jak o tem świadczy dokument, opatrzony nadpisem *sekretno.*

M. S. W.
Gub. Piotrkowska
Prezydent miasta Łodzi
11. września 1899 r.
Nr. 28693

Do Pana Naczelnika
Łódzkiej Dyrekcyi naukowej.

Od Nowego Roku będzie wydawane tygodniowe pismo ludowe w języku polskim po cenie prenumeracyjnej 2 rs. rocznie. Załączając przy niniejszem egzemplarz programu tego pisma, otrzymany przezemnie przy odezwie komisarza do spraw włościańskich na powiaty łódzki i łaski, z d. 6 września Nr. 491, mam zaszczyt pokornie prosić J. W. Pana, czy nie uzna J. W. Pan za możliwe zarządzić abonowanie tego pisma dla szkół miejskich dla katolików. O rezolucyi zechce mię J. W. Pan uwiadomić w ciągu 5 dni.

Prezydent miasta, radca stanu Pieńkowski.

„Co począć — pyta *Pochodnia* — jak się w obec nowej lisiej taktyki rządu zachować? Odpowiedź może być tylko jedna — walczyć! Odsunąć się jak najdalej od wszelkiej pracy w tym nowym monopolu rządowo-oświatowym, występować jak najbezwzględniej

wobec tych, ktorzy tym robotom współdziałają, przestrzegać lud aby nie dowierzał tym nowym „dobrodziejstwom“, popierać i rozszerzać jak najsilniej nietylko *Polaka* ale wszelkie wogóle wydawnictwa zagraniczne, dla nas odpowiednie. Oto wszystko, co na razie uczynić musimy i możemy.“

Sądzimy, że organizacya stronnictwa demokratyczno-narodowego na tem nie poprzestanie i przedsięweźmie inne jeszcze, energiczniejsze i skuteczniejsze środki przeciwdziałania szkodliwej propagandzie. Ale o tych środkach nie trzeba przedwcześnie mówić.

Wiadomość, podana w *Kraju* w pompatycznym tonie o ulgach dla języka polskiego w szkołach średnich i ludowych, okazała się, jak można było przewidywać, tendencyjnie zmyśloną. Dotychczas władze szkolne żadnego zawiadomienia o zmianach zasadniczych nie otrzymały. Język polski nie jest przedmiotem obowiązkowym i wykład po dawnemu odbywa się po rosyjsku. Przeciwnie, nadesłany z Petersburga cyrkularz zaznacza. że język polski ma być postawiony na równi z niemieckim i francuskim. Nawet osławione wypisy polskie Dubrowskiego pozostawiono w klasach wyższych, tylko w niższych zaprowadzono zamiast nich odpowiedniejsze podręczniki.

Również niema żadnych zmian w szkołach ludowych, zapowiedziane bowiem w *Kraju* „ulgi“ odpowiadają istniejącemu faktycznie stanowi rzeczy. Religia i język polski wykładane są po polsku, bo inaczej być nie może.

Ale *Kraj*, kłamiąc bezczelnie, zamierzony cel osiąga. Wiadomość fałszywa, powtórzona w prasie zakordonowej, wywiera wrażenie. Sprostowania ta prasa nie zamieści, nie zrozumie nawet o co chodzi, gdyż nie zna naszych stosunków. Dziwić się jednak trzeba, że uczciwe pisma zakordonowe, które tylokrotnie przekonały się o świadomem przekręcaniu faktów przez *Kraj*, dają mu się wyprowadzać w pole za każdym razem i powtarzają tendencyjne łgarstwa.

Prostowanie tych fałszerstw w danym wypadku tymbardziej jest utrudnionem, że istotnie powne drobne zmiany nastąpiły lub nastąpią. Różnicy między temi zmianami a zapowiadanemi przez *Kraj* pisma zakordonowe nie rozumieją. Pozostaje więc wrażenie, że istotnie rząd rosyjski zrobił znaczne ustępstwa na rzecz języka polskiego.

Polacy, mieszkający w Rosyi lub nawet w kraju zabranym, którzy stanowią główny kontyngens czytelników *Kraju*, nie znając stosunków w Królestwie, przyjmują za dobrą monetę kłamliwe informacye i uważają je za zdobycze polityki ugodowej, która ma wielu wśród nich zwolenników.

O kłamliwości doniesień *Kraju* i przeznaczeniu ich dla specyalnych kół czytelników świadczy najlepiej fakt, że artykułu o rzekomych ulgach dla języka polskiego w szkołach średnich cenzura pismom warszawskim przedrukować nie pozwoliła. Czytelnicy tych pism bowiem mogliby stwierdzić łatwo fałsz.

Zastępca.

KORESPONDENCYA.

Z Dąbrowy górniczej.

W każdem kulturalnem społeczeństwie kształcąca się młodzież bywa zazwyczaj przedmiotem szczególnej opieki i sympatyi ogółu w niej bowiem każdy naród widzi swą przyszłość, na niej buduje gmach nadziei.

Społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, stale i po barbarzyńsku przez rząd od wpływów i opieki nad młodzieżą odsuwane, niema możności kontrolowania szkoły rosyjskiej i protestowania przeciw temu wszystkiemu, co szkoła owa z ujmą dla naszej przyszłości narodowej w młodzież polską wpoić usiłuje. Tem niemniej jednak interesuje się bardzo wszystkiem, co młodzieży dotyczy, spieszy chętnie potrzebującym z pomocą materyalną, kocha młodzież, troszczy się o nią.

Do zjawiska powyższego tak przewykliśmy, uważamy je za taki święty i naturalny obowiązek każdego społeczeństwa, że wprost nie uwierzylibyśmy, iż może gdziekolwiek na kuli ziemskiej znajdować się zakątek, gdzie byłoby inaczej. Tymczasem zakątek taki istnieje u nas, w jednem z ognisk życia przemysłowego, a więc wśród społeczeństwa kulturalnego. Zakątkiem takim jest Dąbrowa!

Istnieje tu średnia szkoła specyalna, dająca społeczeństwu bardzo pożytecznych pracowników — „szkoła sztygarów"; kształcąca się w szkole powyższej młodzież w wieku od lat szesnastu do dwudziestu kilku rekrutuje się głównie z dwóch żywiołów: 1) z chłopców, którzy nie mogli skończyć gimnazyum rządowego, o co, jak wiemy, w szkole rosyjskiej bardzo łatwo i co nieraz przytrafia się bystrym umysłom i dzielnym charakterom i 2) z chłopców, którzy ukończyli miejscową 3 klasową szkołę początkową i odbyli zajęcia praktyczne w miejscowych kopalniach lub fabrykach.

Wskutek powyższej przyczyny cenzus umysłowy uczniów jest bardzo rozmaity, obok bowiem takich, co ukończyli po 4, 5 lub 6 klas gimnazyalnych i w życiu koleżeńskiem gimnazyów, jakkolwiek

strasznie u nas krępowanem, nabrali pewnego uspołecznienia, spotyka się ludzi zupełnie surowych, szkółka bowiem dać im tego nie mogła. Na ogół jednak młodzież szkoły sztygarskiej w Dąbrowie przez czas 11-o letniego okresu istnienia szkoły nie zaznaczyła się postępowaniem, zasługującem na jakieś bezwzględne potępienie. Zdarzały się nieraz kroki fałszywe, jak n. p. w roku przeszłym myśl zebrania funduszu na stypendyum imienia D. M. Brylkina ówczesnego dyrektora szkoły, Moskala, bardzo dla uczniów tolerancyjnego, wrogiego jednak naszemu społeczeństwu, lub uczczenie tegoż p. Bryłkina obiadem pożegnalnym wskutek przeniesienia go na inną posadę, wogóle jednak zachowanie się młodzieży sztygarskiej było zawsze uczciwe, przyzwoite i pod względem narodowym pozwalała rokować, że z ludzi tych społeczeństwo pożytek mieć będzie, czego zresztą wychowańcy szkoły, pracujący jest jako sztygarzy lub hutnicy w miejscowym przemyśle górniczym, znakomite dali dowody. Mimo to wszystko — rzecz trudna do uwierzenia — inteligencya zagłębia dąbrowskiego nietylko, że nie otacza pomienionej młodzieży opieką, pomocą i sympatyą, ale, przeciwnie, ciągle i systematycznie prowadzi przeciw niej nagankę, o byle co z surowością zaściankowych katonów rzuca na nią kamieniem potępienia, przez swój iście pacanowski arystokratyzm traktuje, jak jakichś najniższych funkcyonaryuszów przemysłu, zamiast ułatwiać, tamuje jej możność korzystania z jakichś estetyczniejszych i szlachetniejszych rozrywek, których Dąbrowie dostarcza jedyna przejemnościowa instytucya, resursa, a nawet w swoim czasie owa inteligencya oburzała się na naukowe aspiracye sztygarów i gwałtem starała się obniżyć program nauk w szkole, motywując swoje wnioski argumentom, że przemysłowcy nie potrzebują sztygarów za bardzo wykształconych(!!!), panowie tacy bowiem mają większe wymagania i nie tak ulegle wypełniają wszelkie polecenia władz swoich, oraz za humanitarnie obchodzą się z robotnikami. Jednymi z tych, którzy najbardziej za przygotowaniem z uczniów szkoły sztygarów pod każdym względem *„niżnich czynów“* gardłowali, byli, o dziwo, nie sami właściciele fabryk i kopalń, niema ich tu bowiem i szkołą nie interesują się, lecz pp. dyrektorowie i inżynierowie. Nie chcemy zbyt daleko iść w pesymistycznych przypuszczeniach, mimowoli jednak nasuwa się na myśl podejrzenie konkurencyi zawodowej, kilku bowiem sztygarów po skończeniu szkoły udało się do instytutów górniczych niemieckich i ukończyło takowe!

Po za tem wszystkiem — co już nie tyle ze społecznego, ile z narodowego punktu widzenia zasługuje na piętno — inteligencya miejscowa przy wszelkich konfliktach młodzieży szkoły sztygarskiej

z władzami szkolnemi lub innemi rządowemi zawsze bierze stronę owych władz, zawsze daje poklask ich surowym wyrokom a uczniów obrzuca mianem warchołów, próżniaków i t. d. — Nieraz dochodzi wprost do zachwytu na wieść, że kilku sztygarów mają wypędzić ze szkoły, że ich wzięto w porządne kluby i t. d. — Nie chcę użyć zbyt silnego określenia, na jakie zasługuje właściwie tego rodzaju zachowanie się inteligencyi polskiej, zapominającej, że bądź co bądź jest to walka młodzieży naszej, polskiej ze szkołą „rosyjską", nam wrogą! Nie można jednak, nie upatrując jawnej złej woli, nie nazwać takiego postępowania conajmniej bezmózgowością polityczną. Naturalnie tego rodzaju stosunek społeczeństwa dojrzałego do młodzieży wyradza w tej ostatniej zupełną niewiarę do ogółu inteligencyi i nieraz może spowodować naprawdę poważny ze strony młodzieży błąd, za który jednak nie ta młodzież, ale samo społeczeństwo powinno przyjąć odpowiedzialność.

Świeżym faktem, który o takiem nienormalnem ułożeniu się stosunków między społeczeństwem miejscowem a młodzieżą sztygarską świadczy, jest ostatnie „bezrobocie" uczniów szkoły sztygarów, jakie miało miejsce od dnia 4—5 b. m. z następującego powodu".

Na miejsce poprzedniego dyrektora D. M. Bryłkina, typowego rosyjskiego liberała, cudownie łączącego w swym mózgu apoteozę dla „cara" i „carskiej" władzy z negowaniem wszelkiego porządku, wszelkich form i wszelkiej systematyczności, na które ci rosyjscy liberałowie mają zwyczaj „*plewat'*" z początkiem b. r. szkolnego przyszedł nowy dyrektor, inżynier górniczy p. Dmitriew. Przywędrowawszy tu wprost z Urala z iście azyatyckimi poglądami na młodzież szkolną, na zadania pedagoga i na wielkość „górniczego inżyniera" i zaprawiwszy to wszystko właściwościami politycznego „*diejatiela*" wziął się z energią do reformowania szkoły i młodzieży, pod niektórymi względami rzeczywiście przez poprzedniego dyrektora nieco zbałamuconej i niezbyt systematycznej. Obok reform rzeczywiście potrzebnych i dobro młodzieży na celu mających, jak akuratne uczęszczanie na wykłady, przyzwoite zachowywanie się w gmachu szkolnym i t. p., zaczął jednocześnie p. dyrektor wprowadzać tego rodzaju inowacye, jak np. projekt kłaniania się wszystkim osobom, zaopatrzonym w czapkę inżyniera górniczego, jak traktowanie młodzieży po grubijańsku i używanie o byle co wyrazów „paszoł won", a wreszcie zaczął z iście „*diejatielską*" energią prześladować mianowanie uczniów między sobą po polsku.

Od początku roku szkolnego do pierwszych dni października było już kilka nieporozumień w szkole z wyżej wymienionych powo-

dów i z powodu chęci wydalenia jednego z uczniów, który, nie zauważywszy obecności p. dyrektora, ośmielił się w warsztatach, podczas zajęć praktycznych, rozmawiać głośno po polsku. Zbiorowe wystąpienia uczniów zapobiegały jednak jakiemuś bardziej ostremu konfliktowi.

Choć szafuje swojem „paszoł won“ w stosunku do jednostek wobec ogółu młodzieży miękł zawsze z tą charakterystyczną przezornością rosyjskich mężów, którzy w takich razach nie zapominają o możliwości wypadków w guście Apuchtinowskiego. W dniu 4 października, podczas zajęć praktycznych w warsztatach, podszedł p. dyrektor do jednego z uczniów, zajętego z heblem i zapytał go, dlaczego zaprzestał roboty. Uczeń objaśnił, że czeka majstra, który wówczas dawał wskazówki któremuś z kolegów, aby mu nastawił hebel, bo on tego nie potrafi. P. dyrektor poszedł do majstra i zapytał, czy wyznaczył takiemu a takiemu uczniowi robotę. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, powrócił do wspomnianego ucznia i, zelżywszy go, wziął za ramię i wypchnął z warsztatów.

Oburzeni tem bez żadnej zasady grubijańskiem znalezieniem się dyrektora, uczniowie opuścili warsztaty, a nazajutrz i dni następnych nie przyszli do szkoły, przyczem na drugi dzień wysłano do naczelnika górnictwa w Suchedniowie, p. Choroszewskiego, jako najwyższego zwierzchnika szkoły, skargę na niewłaściwe i grubijańskie zachowanie się dyrektora.

P. Choroszewski, naturalnie, zgodnie z istotą praw rosyjskich, nie dopuszczających możności skarżenia się podwładnych na zwierzchników i uważających wszelkie zbiorowe wystąpienia za nielegalne, skargę pozostawił bez skutku, a uczniów zdał na łaskę i niełaskę p. dyrektora i rady pedagogicznej. Rada owa, zebrawszy się w niedzielę w d. 8 października, postanowiła wszystkich uczniów wydalić i przyjmować na podstawie nowych próśb, których termin podawania określiła do dnia 14 października.

Z całej rady pedagogicznej tylko jeden człowiek, profesor chemii i metalurgii, nie wahał się wbrew brzmieniu protokołu zaznaczyć na nim, że ze zdaniem „rady“ nie zgadza się i nieporozumienie przypisuje zbyt prędkiemu unoszeniu się i nietaktowi dyrektora. Po za tem wszyscy pozostali profesorowie, między którymi nie brakło i Polaków, przyznali racyę dyrektorowi i podpisali dekret ogólnego wydalenia uczniów. Naturalnie na usprawiedliwienie swojego postępku nie omieszkali dni następnych jaknajgłośniej piorunować na młodzież.

Czy wszyscy będą napowrót przyjęci, dotychczas nie wiadomo, zdaje się jednak, że dyrekcya będzie łagodna, czuje bowiem, że za

bardzo się zagalopowała. Tyle co do samego faktu. A teraz przejdźmy do zachowania się inteligencyi wobec tego zajścia. P. Dmitriew z prawdziwie tatarską perfidyą przedstawił tak samej radzie i p. Choroszewskiemu jak i niektórym członkom miejscowym społeczeństwa w zupełnem fałszywem świetle samo zajście i zachowanie się względem niego młodzieży. Jakkolwiek młodzież komunikowała wprost przeciwne wieści, nikt nie uwierzył jej, a wszyscy dali wiarę p. Dmitriewowi. Nikt nie starał się zastanowić, że choćby ta młodzież była łatwo zapalna, choćby była lekkomyślna, bez słusznego jednak powodu nie narażałaby swojej i szkoły przyszłości! A tymczasem mamy niezbite dane, że zwłaszcza nad przyszłością szkoły zastanawiano się poważnie i brano ją pod uwagę. Słusznie jednak postawiono wniosek, że choćby nawet przyszło do zamknięcia szkoły, to lepiej aby jej nie było, niż gdyby miała znieprawiać charaktery młodzieży, zaprawiać ją do serwilizmu, ćwiczyć w zasadach poniżenia godności narodowej i osobistej.

Tego jednak nikt nie brał w rachubę, nikt nawet nie przypuszczał, aby ta młodzież nad podobnie poważnemi kwestyami zastanawiać się było zdolna, bo nikt tu nie starał zbliżyć się do niej, poznać ją i opieką otoczyć. Gdy więc gdzieindziej w podobnych razach spotyka się młodzież z nawoływaniami ze strony dojrzałego ogółu do oględności i ostrożności, ale jednocześnie czuje, że się o nią troszczą, sympatyzują z nią, tu nic podobnego miejsca nie miało. — Wszyscy byli po stronie pięknych i pożytecznych reform p. Dmitriewa, a nikt po stronie młodzieży. Myśl o karyerze, o kawałku chleba tak tu wszystkim przesłania szersze widnokręgi, że nikt ich nie obejmuje, każdy nazywa mrzonkami, łaska boska jeszcze, jeżeli bez dodatku „zgubnemi“.

Za tem większą przeto młodzieży zasługę jej solidarne i poważne zachowanie się poczytujemy i fakt ten, jako dodatni objaw odradzania się w niej tęgości charakterów i ducha narodowego zaznaczamy.

„Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj“, . .

Małopolanin.

SPRAWOZDANIA.

Elchard Esse. *Socialistes polonais et russes.* Paryż r. 1899.

Jest to odbitka artykułu, zamieszczonego niedawno w miesięczniku *Humanité nouvelle.* Autor roztrząsa w tej broszurze sprawę stosunku wzajemnego socyalistów rewolucyjnych polskich i rosyjskich w teraźniejszości i w przyszłości. Tą przyszłością zajmuje się dosyć szczegółowo. Zdaniem jego absolutyzm rosyjski, jak każdy w ogóle absolutyzm, stanie się skłonnym do ustępstw jedynie wskutek porażek w polityce zewnętrznej i bankructwa finansowego. Obowiązkiem socyalistów rosyjskich jest podkopywanie powagi caratu w społeczeństwie własnem, odebranie mu możności pokrywania swych stron ujemnych płaszczykiem nacyonalizmu.

Autor nie wierzy, żeby carat rosyjski dobrowolnie stał się konstytucyjnym nawet w przeddzień grożącego mu bankructwa. Zresztą konstytucya, jaka byłaby mozliwą w Rosyi carskiej, niezadowolniła by nawet częściowo ani żywiołów rewolucyjnych rosyjskich, ani narodowości uciśnionych. Obalenie caryzmu musi być wspólnem jednych i drugich dążeniem — jest to *minimum* programu rewolucyjnego w państwie rosyjskiem.

Solidarność żywiołów rewolucyjnych, konieczna dla skuteczności walki, mającej cel wyżej zaznaczony, wymaga uznania bez zastrzeżeń przez socyalistów rosyjskich niepodległości Polski. Wymownie i zasadnie przekonywa ich autor o tem, wątpimy jednak, czy wielu przekona. Broszurę p. Essego należało raczej wydać po rosyjsku niż po francusku Dla czytelników francuskich początek jej, zawierający opowieść o ugodzie *Proletaryatu z Narodną Wolą* jest w zupełnie zbyteczny i niezrozumiały. Wogóle cała ta opowieść, trzymana w tonie relacyi dyplomatycznej, pobudzić może poważnego czytelnika do pobłażliwego uśmiechu. Socyaliści nasi, którzy chętnie nazywają się stronnictwem przyszłości, od pewnego czasu zaczynają zajmować się historyą swej działalności, gromadzić archiwa i t. d. Jest to niewątpliwy objaw starzenia się ludzi, a może i stronnictwa. W młodości ani w rozkwicie wieku mężkiego nie myśli się o utrwalaniu swych czynów w pamięci potomnych.

ip.

Fr. Rawita Gawroński »*A. Mickiewicz na wschodzie*«. (Lwów 1899 nakładem ks. Altenberga).

Gdy wybuchła wojna wschodnia, Mickiewicz nie podzielał opinii, aby się Polacy nie mieszali do niczego, przeciwnie, obojętności naszej przypisywał »żeśmy się doczekali najsmutniejszej w naszej historyi chwili«; gorszył się na tych, którzy zamiast pracować, »pokorą i prośbą« pragnęli zdobywać lepszą przyszłość. To też postanowił wesprzeć usiłowania tych, co się wydzierali do czynu, jak Czajkowski i Zamojski i gdy, po ciężkiej chorobie żona mu umarła, wybrał się na Wschód, aby zażegnywać spory wśród wychodźców i połączyć Polaków, Kozaków i Żydów we wspólnej akcyi przeciw Rosyi.

W tym celu zamieszkawszy w Turcyi, rozwinął energiczną działalność, ale śmierć przerwała jego pracę.

P. Rawita Gawroński daje barwny opis podróży poety na Wschód, obraz życia obozowego, przedstawia plany strategiczne Mickiewicza, oraz jego poglady i nadzieje, jakie przywiązywał do Kozaków tureckich, Żydów

i Rusinów. Kozaczyznę cenił poeta przedewszystkiem, jako praktyczną szkołę wojskową, która w rozmarzonych i rozpróżniaczonych wychodzcach miała obudzić zapał, energię, nowe życie. Radził więc Polakom wystrzegać się wszelkich klasyfikacyj: »to polskie, to kozackie, to arystokracya, to demokracya; potrzeba, ażeby była tylko szablokracya«.

»Wyjeżdżając z Francyi — mówił do intrygujących wychodzców — marzyliście o urzędach i zyskach, które tu was miały czekać«.

Gdy narzekano na arystokracyę, odpowiedział: »Idźcież do Kozaków, bo tam równość, równość zupełna; służą tam i Polacy i Rusini i Bułgarzy: Tatarzy, Żydzi nawet, a o partyach nie wiedzą«.

Na Żydów wiele liczył i postanowił uformować z nich pułk, wyłącznie żydowski, w którym oficerowie Izrealici będą mieli prawo awansu, jak w całej armii, zwyczaje, uroczystości religijne będą zachowywać, jak u siebie w domu bez przeszkód; mają oni natomiast, względnie gminy żydowskie w Turcyi, brać współudział w utrzymaniu pułku.

Pomysł swój w formie memoryału podyktował Mickiewicz swema przyjacielowi Armandowi Lèvy'emu, Izraelicie, a ten podpisał go i dał do przejrzenia wybitniejszym ziomkom. Memoryał przyjęty został życzliwie zarówno przez Żydów, jak i przez rząd turecki, ale śmierć poety nie pozwoliła doprowadzić sprawy do końca i »zbratać« w wspólnej walce o niepodległość Polaków, Rusinów i Żydów, jak o tem marzył Adam Mickiewicz.

K. Gł.

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

= W drugą rocznicę zamordowania kilku robotników podczas pamiętnego bezrobocia w Hucie Bankowej urządzono niedawno w Dąbrowie uroczystą manifestacyę. Około 400 osób zgromadziło się na cmentarzu na mogiłach zabitych i jeden z uczestników manifestacyi wygłosił mowę, dosadnie piętnującą postępowanie rządu rosyjskiego. Następnie zgromadzeni na cmentarzu tłumnie udali się na miejsce wypadku. Po drodze tłum urósł znacznie i przed Hutą zebrało się najmniej półtora a może nawet dwa tysiące ludzi. Policyanci, którzy teraz dopiero dowiedzieli się o manifestacyi, nie odważyli się przeciw manifestującym wystąpić, a podobno nawet sami pochowali się ze strachu.

= W Ojcowie rząd rosyjski umieścił oficera żandarmeryi i 2 żandarmów oraz 2 policyantów tajnych. Na utrzymanie tej komedy płacić muszą włościanie, wynajmujący mieszkanie letnie po 4 kopiejki od rubla czynszu oraz dostarczać bezpłatnie swoim aniołom-stróżom, podwód. A nie jest to ciężar byle jaki, bo w ciągu sezonu dostarczono 60 podwód.

Ludzie miejscowi i goście zachodzą w głowę, co jest powodem tej szczególnej czujności, dla czego Ojców uchodzi za miejscowość szczególnie niebezpieczną pod względem politycznym? Możemy tajemnicę tę wyjaśnić. Dziesięć lat temu przez Ojców sprowadzano z zagranicy druki socyalistyczne. Kontrabandę, ukrytą w jaskini, wyśledzono. Od tego czasu jaskinia przez długie

lata była zamkniętą, a Ojców stał się przedmiotem niezwykłej czujności żandarmskiej, chociaż nikt, ma się rozumieć, nie myśli tam teraz o sprowadzaniu z zagranicy książek zakazanych.

Ta rutyna żandarmska przypomina fakt, który wydać się może anegdotą, a jednak jest wiarogodny i nawet w prasie rosyjskiej był opisywany. W jednej z rezydencyi carskich pod Petersburgiem Aleksander II zauważył, że w ogrodzie za jakąś altaną stoi szyldwach. Na rozkaz carski zaczęto badać, dla czego szyldwach tam stoi, i okazało się, że jeszcze za panowania Aleksandra I. czy nawet Pawła postawiono w tem miejscu wartę, żeby pilnowała jakiejś rzadkiej, z zagranicy sprowadzonej rośliny. Od tego czasu przez kilkadziesiąt lat z rzędu w tem samem miejscu stawiano szyldwacha. Zdaje się, że komenda żandarmska w Ojcowie należy do tej samej kategoryi faktów.

— *Pochodnia* (Nr. 4.) wspominając o znanej czytelnikom naszym sprawie Orzeszkowej i Prusa, dodaje:

»Więcej jeszcze obiecuje p. L. Krzywicki, obywatel kuli ziemskiej, stojący »ponad narodowościami«.

»Ten równie czynnie zwalcza wstrętną mu doktrynę nacyonalizmu; tylko, jako umysł filozoficzny i wolny od przesądów, uprościł nieco sprawę: zamiast bowiem sprzedawać prawo przekładu, sam po prostu pisuje oryginalnie po rosyjsku do pism *Ruskoje Bogatstwo i Naczało*...

»Podobna filozofia odważnie poparta czynem może zaprowadzić jeszcze dalej. Ktoś inny np. zasłaniając się powagą »kolegi« Krzywickiego, zechce »z przekonania« zasilać swem piórem nowopowstającą *Jutrzenkę*, zwłaszcza jeżeli mu za to dobrze zapłacą. A bardzo być może, że i Dreyfus równie »z przekonania« zasilał sekretnymi dokumentami ambasadę rosyjską w Paryżu«...

Dodamy, że p. Krzywicki w piśmie francuskiem *Humanité nouvelle* figuruje jako autor rosyjski. Nietylko zresztą tacy jak on teorytyczni radykaliści, ale nawet niektórzy rewolucyjni publicyści występują w roli współpracowników pism rosyjskich.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

— Pisma poznańskie donoszą, że według wykazów miejscowej izby rolniczej wywędrowało w r. z. na zarobki do Niemiec 32.334 robotników, a mianowicie z obwodu poznańskiego 34.580 i z bydgoskiego 7.754. Stosunkowo najwięcej (od 2.000 do 3.500 ludzi) wywędrowało z powiatów międzychockiego, czarnkowskiego, babimojskiego, wieleńskiego i śmigielskiego. Na miejsce robotników, idących na lato do Niemiec, przybywają robotnicy z Królestwa i z Galicyi. W r. z. pracowało w obwodzie poznańskim 2.548 robotników z Królestwa i 2.039 z Galicyi, w obwodzie bydgoskim zaś pierwszych było 6.636 drugich tylko 138.

— Pisma hakatystowskie, zwłaszcza *Deutsche Zeitung*, oburzają się, że w szkole handlowej, która wkrótce ma być założona w Poznaniu, język polski będzie przedmiotem obowiązkowym. Ma się rozumieć, nauka języka polskiego nie jest żadnem ustępstwem,, domagają się jej kupcy Niemcy, dzisiaj bowiem Polacy, władający dwoma językami, mają nad nimi przewagę w stosunkach handlowych. *Deutsche Zeitung* wie o tem, ale twierdzi, że

zamiast nauczania języka polskiego należy raczej usunąć go zupełnie z życia publicznego.

= We Wrześni zagrożono kupcowi Polakowi, p. K. R., że jeżeli nie zniesie u siebie agencyi gazet polskich, to mu odbiorą konsens na wyszynk wódki i innych napojów wyskokowych. Wogóle Polakowi bardzo trudno otrzymać konsens, w Katowicach np. nie można wskutek tego urządzić restauracyi polskiej, w której zbierały by się towarzystwa i te wegetują tylko, bo nie mają wcale zebrań.

= W dyecezyi chełmińskiej Polacy stanowią co najmniej 5|6 ludności katolickiej, tymczasem na wyższych stanowiskach duchownych stosunek przedstawicieli obu narodowości jest wręcz przeciwny«.

	Niemców	Polaków
Biskup	1	—
Generalny wikary	1	—
Kanoników (2kurye wakują obecnie)	5	3
Regens seminaryum	1	—
Subregens	1	—
Profesorów ustanowionych	1	1
Dyrektor biskupiego progimnazyum	1	—
Razem	12	4

Na stanowiskach naczelnych, gdzie rząd wywierze wpływ na wybór, są tylko Niemcy.

= Biskup warmiński Thiel z powodu swego jubileuszu otrzymał gwiazdę orderową i telegramy z życzeniami od Wilhelma II i dostojników pruskich. Władze miejscowe brały udział w obchodzie jubileuszu, a nawet duchowieństwo ewangielickie wyraziło biskupowi Thielowi sympatyę.

Dzienniki niemieckie, wrogie Polakom, zamieściły prawie jednobrzmiący artykuł o jubileuszu i jubilacie.

»Sposób, w jaki władze biorą udział w obchodzie, jako też wspomniane nadanie orderu, świadczą, do jakiego stopnia działatność biskupa zadowalnia wymagania ogólnej polityki państwowej. Jak biskup chełmiński, który uczestniczył w obchodzie, należy i ks. dr. Thiel do niemieckich i katolickich zwierzchników dyecezyalnych na kresach wschodnich, którzy ponad obowiązki koscielnego swego urzędu (*über ihren kirchlich amtlichen Obliegenheiten)* zawsze zachowali świadomość, co jako Niemcy winni swej narodowości, a jako obywatele pruscy państwu pruskiemu. Zarówno chełmiński, jak i fromborski biskup był też z tego powodu zmuszony znosić najostrzejsze napaści agitatorów wielkopolskich i często walczyć z oporem oddanych agitacyi wielkopolskiej proboszczów.“

Na ten artykuł odpowiada *Gazeta toruńska:*

„Z takiem uznaniem piszą o księdzu biskupie Thielu gazety, słynne z nienawiści do katolicyzmu, dla tego, że istotnie zmuszał podwładnych księży Polaków do zupełnego zerwania ze społeczeństwem polskiem, co wywołało gorszące walki między niem a duchowieństwem. — My Polacy katolicy czcimy w księdzu biskupie Thielu dostojeństwo kościelne, ale z działalności jego nie możemy być zadowoleni. Uważamy ją za dopuszczenie, jak tyle innych doświadczeń, które nam Bóg każe znosić — aż do czasu zmiłowania.“

= Pisaliśmy już dawniej o rzekomym »buncie« ślepych i kulawych starców w przytułku dla ubogich w Śremie. Obecnie w tej sprawie wyrok sądowy przeciw nędzarzom kulawym i niewidomym zapadł. Za opór przeciwko władzy państwowej skazano trzech niewidomych Łukaszyka, Szymańskiego i Tomczaka, na jeden rok więzienia, trzech na 9 miesięcy więzienia, jednego na 7 miesięcy, trzech na pół roku więzienia! Rozprawa sądowa wykazała jasno, że dozorca Wuthke i przywołani w pomoc żandarmi zrobili użytek z szabli bez żadnej potrzeby przeciw spokojnym kalekom, nie mogącym się ani bronić, bo byli już to całkiem niewidomi, już też w wysokim stopniu kulawi, że kilku z nich ciężko poranili, a jeden z nich nawet wskutek ran odniesionych umarł. Wuthkemu i żandarmom nie stało się za to krzyczące bezprawie nic, natomiast niedołężnych biedaków surowo ukarano.

= Przed sądem ławniczym w Toruniu stawali w tych dniach trzej gospodarze z Mlewa jako oskarżeni, a parobek jednego z nich Ratajski, liczący lat dziewiętnaście jako świadek. Wszyscy oni oświadczyli, że nie umieją zeznawać w języku niemieckim, co bardzo oburzyło przewodniczącego, asesora Jahnkego. Co do oskarżonych oświadczył on, że wolno im nie mówić po niemiecku, bo potem i tak odpowiednio zostaną zasądzeni. Natomiast od świadka zażądał stanowczo, żeby zeznawał po niemiecku, a kiedy chłopak powtórzył, że nie umie, skazano go na 14 godzin aresztu i sprawę odroczono!! Z powodu tej rozprawy *Gazeta grudziądzka* podaje wzór oświadczenia jakie powinnni składać świadkowie, którzy nie chcą zeznawać po niemiecku, z żądaniem zapisania w protokole.

= Landrat tucholski w Prusiech Zachodnich wydał następujące rozporządzenie:

»Miejskie władze policyjne i panów wójtów proszę *ostro* baczyć na to, aby żadnych religijnych pamiątek o wyznaniowem znaczeniu, jak np. *krzyży*, *Bożych męk* itd., nie wznoszono bez pozwolenia policyi budowlanej. Gdzieby pamiątki takie postawić zamierzono, należy mi złożyć raport *przed* udzieleniem pozwolenia na postawienie. Przed udzieleniem mego pozwolenia nie wolno zezwolić na podobną budowlę«.

Powodem do wydania tego nakazu, wzorowanego na rozporządzeniach podobnych władz rosyjskich było postawienie przez proboszcza krzyża z napisami polskimi w Sempławie, w powiecie lubawskim. W Lubawie proboszcz miejscowy przygotował również krzyż, ale burmistrz przypomniał mu zakaz. Krzyż jednak w nocy wkopano i ogrodzono. Zrobili to »szelmy-krasnoludki« ironizuje *Goniec wielkopolski*, przypominając czytelnikom drukowany niedawno w swych łamach »Szary proch« i »zakordonowych szkaplerzników.«

Z GALICYI.

= Według sprawozdania Rady szkolnej krajowej było w Galicyi w r. 1898/9 zorganizowanych szkół ludowych 4.225, więcej o 76 w porównaniu z rokiem ubiegłym. Ale z tej liczby było tylko 3883 szkół czynnych, zaś 242 nieczynnych z powodu braku nauczycieli i 130 nieczynnych z powodu braku budynków szkolnych. Liczba szkół czynnych w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosła o 214, zwiększyła się również liczba uczniów o 33.887 i wynosiła w r. z. 660.649. Postęp więc w szkolnictwie jest bardzo skromny.

= Rzeźbiarz p. Popiel wykończył zaczęty przez śp. Marconiego model pomnika Kościuszki, który ma stanąć w Krakowie. Znawcy, którzy model oglądali, wydali o nim sąd pochlebny Kościuszko siedzi na koniu, w prawej ręce trzyma krakuskę. Koszty zrobienia modelu, odlania z bronzu i ustawienia pomnika nie przeniosą podobno 50.000 zł., ale dotychczas zebrano zaledwie część tej sumy. Jest w tem trochę winy Komitetu, który nie umiał rozbudzić ofiarności publicznej. Należy się spodziewać, że publiczność nie mająca zaufania do komitetów pomnikowych krakowskich, skoro zobaczy model, rychło sumę potrzebną złoży. Gdyby pieniędze w większej sumie teraz wpływać zaczęły, możnaby było urządzić odsłonięcie pomnika w roku przyszłym.

= W r. 1867 było w Galicyi tylko 38 właścicieli gruntów Żydów (poprzednio istniał zakaz nabywania ziemi). Ale już w roku 1870 liczono 68 Żydów właścicieli większych, uprawnionych do głosowania w pierwszej kuryi, w r. 1876 — 289 a w r. 1880, jak twierdzi *Głos narodu* 20% ogólnej liczby, t. j. blizko pięciuset. Od r. 1874 do 1892 przeszło w ręce żydowskie 43.000 (?) gruntów chłopskich.

= Koło IV. towarzystwa „Szkoły ludowej“ we Lwowie delegowało w r. b. kilku swoich członków do zwiedzania szkół polskich w powiecie lwowskim. Celem tej „lustracyi“ było bliższe zbadanie stosunków szkolnych, stanu nauczania i położenia nauczycieli. Organ narodowców ruskich, *Dilo* zwąchał jednak w tych niewinnych wycieczkach »polską intrygę« i zamieścił artykuł, usiłujący dowieść, że jestto „całkiem nowa jakaś władza szkolna o ile znamy organizacyę naszego szkolnictwa, nikomu jeszcze nieznana władza państwowa, ani autonomiczna, a tak sobie »obywatelska«, albo coś niby sekcya rządu narodowego“.

Wiedząc o tem, że p. Bobrzyński, wice-prezydent Rady szkolnej, jest biurokratą, nie znoszącym »wtrącania się« społeczeństwa do spraw szkolnych, *Dilo* wzywa go, ażeby działalności towarzystwa »Szkoły ludowej« przeszkadzał. Wystąpienie *Dila* nie dziwi nas wcale, patryoci ruscy, nie wyłączając radykałów, występują zawsze albo w roli pokrzywdzonych „ubogich sierot“, albo w roli lojalnych denuncyantów. Wiemy zresztą, dlaczego pismo ruskie tak się tych lustracyi obawia, wykryły one bowiem, że w niektórych szkołach dzieci polskie zmuszone są uczyć się po rusku w imię »równouprawnienia narodowego«.

W Galicyi jest więcej szkół ludowych z językiem wykładowym ruskim, niż z językiem polskim, chociaż według spisu ludności w r. 1890 Polacy stanowią 53.34%. Rusini zaś 43.30% ogółu mieszkańców.

W jednej ze szkół w powiecie lwowskim dzieci polskie (60% ogółu uczniów) zaczynają naukę po rusku i dopiero w drugim czy nawet trzecim roku poznają abecadło polskie. Nic dziwnego, że tej gminie młode pokolenie Polaków posługuje się już w życiu domowem językiem ruskim. Jakby na ironię wynaradawianie dzieci powierzono tam nauczycielowi Polakowi.

= Uchwalone podczas ostatniej sesyi sejmu lwowskiego pomnożenie o 5 liczby posłów z miast i nadanie rektorowi politechniki lwowskiej i prezesowi Akademii nauk głosów wirylnych — nie zostało w Wiedniu zatwier-

dzonem. Nawet tego drobiazgu nie mogło uzyskać od rządu wierne mu i kompromitujące się dla niego Koło polskie. Centralna biurokracya odrzuciła drobną, ale bądź co bądź rozszerzającą przedstawicielstwo krajowe reformę, ponieważ za przykładem lwowskiej inne politechniki zażądałyby dla swych rektorów głosów wirylnych, a to, jak donosi *Czas*, budzi w wyższych kołach urzędniczych »poważne obawy«. Te »poważne obawy« radykalizmu rektorów są znamiennym objawem biurokratycznej rutyny i świadectwem tępości umysłowej sfer, które żywić je mogą. Słusznie pisze w tej sprawie *Głos narodu*: »Zasadniczo, to zwlekanie z drobną reformą, będąca jednak małym postępem w kierunku rozszerzenia reprezentacyi krajowej w autonomicznem ciele ustawodawczem, jest objawem zakamieniałego ducha austryackiego rządu, który ani na krok nie chce odstąpić od starej zasady czynienia ustępstw na rzecz ludów pod batem grozy i w najostateczniejszej konieczności. Wynik tej metody jest taki, że i tak słaby organizm przechodzić musi przy każdej reformie, przy każdym najdrobniejszym kroku naprzód dotkliwe paroksyzmy, po których nigdy wysapać się gruntownie nie może«.

═ W Jarosławiu na zebraniu kontrolnem rezerwistów aresztowano 4 ludzi za to, że przy apelu zamiast niemieckiego *hier*, odpowiedzieli po polsku *jest*. Aresztowani, ojcowie rodzin i właściciele gospodarstw, siedzą dotychczas w areszcie, chociaż odpowiadali po polsku nie dla demonstracy, ale wskutek przyzwyczajenia. Dzienniki, które nad tym faktem ubolewają, powinny były wówczas, gdy toczyła się sprawa o czeskie *zde*, zachęcać do, odpowiadania po polsku. Wobec narzucenia całej armii charakteru niemieckiego pozwolenie odpowiadania w mowie ojczystej jest drobnostką, uchroniłoby jednak wielu ludzi od ciężkiej kary za mimowolne zwykle wykroczenie.

═ Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe we Lwowie, o którego zawiązaniu donosiliśmy w swoim czasie, w połowie września ukonstytuowało się ostatecznie przez wybór prezesa rady nadzorczej i członków dyrekcyi. Prezesem został wybrany książe Kazimierz Lubomirski, który niedawno powrócił z Ameryki, gdzie na miejscu przez dłuższy czas badał stosunki parcelacyjno-kolonizacyjne. W skład dyrekcyi weszli: pp. dyrektor Banku zaliczkowego we Lwowie Władysław Terenkoczy, profesor Uniwersytetu lwowskiego, dr. Siemiradzki Józef i dr. Ungar Wiktor, adwokat i redaktor *Gazety Handlowo-geograficznej*.

Najbliższym celem Towarzystwa jest wyrwanie polskiego wychodztwa z rąk zdzierczych agentów emigracyjnych i nabywanie obszarów ziemi dla parcelacyi między naszymi wychodźcami w brazylijskim stanie Parana.

Na razie cała akcya Towarzystwa ogranicza się na pospiesznem gromadzeniu kapitałów w drodze sprzedaży listów udziałowych, a od pomyślnego jej wyniku zależeć będzie wszystko, gdyż, jak nas dochodzą wieści, jednocześnie zawiązuje się włoskie towarzystwo kolonizacyjne z kapitałem zakładowym 3,000.000 fl., które może uprzedzić naszych kunktatorów w nabyciu upatrzonych terenów.

Dla osób interesowanych podajemy do wiadomości, że wszelkie listy w sprawie Towarzystwa kolonizacyjno-handlowego wysyłać należy do Banku zaliczkowego we Lwowie, Hetmańska 10, gdzie również są do nabycia udziały Towarzystwa w dowolnej wysokości, począwszy od 100 koron.

Z KRESÓW.

= Towarzystwo budowy »domu polskiego« w Morawskiej Ostrawie wydało odezwę, w której pisze, że w obu Ostrawach i okolicy mieszka około 40.000 robotników Polaków, przeważnie pochodzących z Galicyi.

„Tutaj tysiące polskiego ludu pracują w oddaleniu od swej ojczyzny, bez szkół, bez opieki, bez ducha własnego, zatracając wśród ciężkiej pracy i trudnych warunków — pamięć i poczucie narodu i pochodzenia, i to bez żadnych dla siebie korzyści.

„Pragnac w części przynajmniej zaradzić złemu, zawiązał się miejscowy komitet z ludzi szczerze dla dobra swych braci pracujących i postanowił wybudować dom; — dom, w którym starzy i młodzi nabywaćby mogli potrzebnych wiadomości z wiedzy ogólnej i zawodowej, gdzieby się znajdowała szkoła dla analfabetów, gdzieby, w najbliższej przyszłości, można pomieścić uniwersytet ludowy. — Dom ten ma się stać równocześnie centrum zbornem i towarzyskiem całego miejscowego społeczeństwa polskiego; — w chwilach wolnych od pracy biedny i zamożniejszy znajdzie tu potrzebną duchową rozrywkę. Koszta wybudowania tego domu, według umieszczonych szkiców, będą około 65.000 złr. Fundusze, którymi komitet rozporządza — wraz zakupionym placem i akcyami, czyli wkładkami członków złożycieli, ewentualnie nawet wziąwszy pod uwagę pożyczkę hipoteczną — nie starczą żadną miarą do zupełnego wykonania zamierzonej myśli.

«Zwracamy więc się do wszystkich ludzi dobrej woli z gorącą prośbą o jak najenergiczniejsze poparcie. Tam, gdzie idzie o prawdziwą oświatę, a tem samem o dobrobyt ludu, o wspólny i wszystkie stany obchodzący interes, — niechaj każdy humanitarne nasze dążenie poprze czynem, aby choć w części wynagrodzić to, co błędy historyczne w pracy naszej narodowej zniweczyły.

»Prosimy więc o zasiłek pieniężny i to albo przez podpisanie udziału (jeden udział wynosi 10 złr.), lub też jakimkolwiek choćby najmniejszym datkiem, który według obowiązującej nas ustawy zaliczonym będzie do funduszu rezerwowego.“

Wszelkie datki i wkładki na udziały przesyłać należy pod adresem »Towarzystwo budowy domu polskiego«, Morawska Ostrawa, ulica Hermańska.

= Staraniem Czytelni ludowej w Cieszynie zorganizowano systematyczne wykłady dla dziewcząt. Wykłady, obejmujące kurs dwuletni i podzielone na 4 grupy, rozpoczną się w środę dnia 18 października i odbywać się będą każdej środy i soboty popołudniu w liczbie 8 godzin tygodniowo. Wykładane będą: literatura i historya polska, literatura, nauki przyrodnicze, fizyka, gospodarstwo, hygiena i pedagogia. Zakres ten może być ewentualnie rozszerzonym. Od słuchaczek wymaga się, aby ukończyły przepisany wiek szkolny, to jest przekroczyły 14 lat życia. Opłata za prawo uczęszczania wynosić będzie 3 złr. miesięcznie od osoby, którą to opłatę obniżyć może grono nauczycielskie lub nawet całkiem uwolnić. Odczyty odbywać się będą w dużej sali Czytelni ludowej w Cieszynie, a wygłaszane będą przez grono fachowo wykształconych nauczycieli.

Inicyatorowie wykładów chcą zastąpić w ten sposób wyższą szkołę dla dziewcząt polskich, której niema na Śląsku. Umyślnie przeznaczono na wykłady tylko dwa dni w tygodniu, żeby dziewczęta wiejskie mogły na nie

ze wszystkich stron kraju przyjeżdżać. Komunikacye kolejowe są dogodne a całe księstwo cieszyńskie ma zaledwie 40 mil kwadr. obszaru.

= Na Górnym Ślązku policya pruska bezprawnie konfiskuje książki polskie. Na polsko-katolickie towarzystwo w Załężu — piszą gazety niemieckie — padło podejrzenie (?!), że ma w bibliotece książki »narodowo-polskie« (?). Z polecenia prokuratoryi, która energicznie zajęła się wyśledz niem tego przestępstwa, policya dokonała rewizyi w mieszkaniu robotnika Sapy, sekretarza towarzystwa. Zabrano 68 książek polskich i odesłano do prokuratoryi, która, ma się rozumieć, będzie musiała je zwrócić, jeżeli towarzystwo upomni się o swoją własność.

= Z Łaz (na Ślązku austryackim) piszą do *Nowej Reformy*, że proboszcz orłowski, ks. Pospiszil, Czech nie chciał poświęcić nowej szkoły polskiej rzekomo dla tego, że do szkoły oprócz katolickich będą uczęszczały dzieci ewangielickie.

= Niedawno stawał przed sądem w Królewskiej Hucie cały zarząd Związku polsko-katolickiej młodzieży pod wezwaniem św. Stanisława pod zarzutem nieposłuszeństwa wobec policyi. Przed kilku miesiącami zażądała policya od przewodni. zącego p. Borysa spisu członków, uzasadniając żądanie swoje tem, że uważa towarzystwo jako polityczne. P. Borys nie wręczył żądanego spisu dlatego, że towarzystwo politycznem nie jest. Policya całą sprawę oddała prokuratoryi. Naprzód otrzymali wszyscy członkowie zarządu mandaty karne na 60 marek albo 12 dni więzienia. Kary nie zapłacono, lecz zwrócono się z tą sprawą do sądu, nadmieniając, że policya nie była uprawnioną żądać spisu członków, gdyż towarzystwo wyklucza z zasady sprawy polityczne. Rozprawy toczyły się z wykluczeniem publiczności, którą dopiero wpuszczono dla wysłuchania wyroku. Wyrok brzmiał mniej więcej tak:

»Ponieważ w towarzystwie obwinionego zarządu tylko w języku wielkopolskim się rozprawia i niektórzy członkowie związkowi polskie czapki narodowe (maciejówki) noszą, towarzystwo również polskiego świętego (św. Stanisława Kostkę) za patrona sobie obrało i pod krzyżem, zawieszonym na sali posiedzeń, obrazy wodzów polskich (króla Sobieskiego, Kościuszki i księcia Poniatowskiego) zawiesiło na znak, że ponieważ krzyż jest święty, to obrazy towarzystwa również są święte(?), a prezes towarzystwa, który napisał sztukę »Chorzowianie«, podburzającą ludność ślązką i służącą propagandzie wielkopolskiej, jest znany jako główny agitator polskości itd. — należy więc przypuszczać, że towarzystwo to pracuje jedynie nad tem, ażeby uczucia narodowo-polskie rozbudzać i pielęgnować, uprawia zatem cele polityczne, dążące do tego, by Królestwo Polskie odbudować, — policya zatem uprawniona była żądać spisu członków, którego zarząd, wbrew ponownemu napomnieniu, odmówił«.

= Gimnazyum niemieckie (rządowe) w Cieszynie zdobi obecnie nowo wymalowany napis w barwach państwowych niemieckich. Nie ma w tem nic dziwnego, skoro niedawno podczas jakiejś uroczystości powiewały z okien gmachu sądowego chorągwie niemieckie. Tego rodzaju demonstracye są w Austryi, jak wiadomo, najlepszym sposobem zyskiwania wpływu w wysokich sferach.

— W Rybniku na Górnym Śląsku policya pruska bez uzasadnionego powodu rozwiązała towarzystwo gimnastyczne „Sokół.“

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

— W pierwszej połowie października zbiera się sejm, tj. zjazd delegatów Związku narodowego polskiego w Stanach Zjednoczonych. Wszystkie niemal grupy, należące do tej organizacyi, w projektach swych i wnioskach stawiają żądanie, żeby Związek zajął się kolonizacyą rolną ludności polskiej.

Niedawno jeszcze łudzono się projektem utworzenia gdzieś na zachodzie Stanów Zjednoczonych, np. w stanie Washington przeważnie polskiego terytoryum. Dziś nie ulega wątpliwości, że podobny projekt jest mrzonką i że o kolonizacyi polskiej na szerszą skalę w Ameryce północnej mowy być nie może. Natomiast mogą niewątpliwie powstawać tu i ówdzie i nawet rozwijać się pomyślnie kolonie rolnicze polskie. *Zgoda* sądzi, że te kolonie przyczyniać będą do zachowania polskości i jako przykład przytacza kolonie w Texas, gdzie trzecie pokolenie, na ziemi amerykańskiej, używa języka polskiego.

Zapewne, zachowanie jak najdłużej poczucia narodowego i mowy polskiej wśród wychodztwa naszego w Stanach Zjednoczonych jest pożądanem. Trzeba jednak powiedzieć sobie, że to wychodztwo nasze nie ma w północnej Ameryce warunków trwałego rozwoju narodowego. A skoro to przyznamy, to nasuwa się pytanie, czy należy je przytwierdzać do gruntu amerykańskiego? Posiadanie domów zatrzymuje w Stanach Zjednoczonych wielu wychodźców, którzy mogliby powrócić do kraju, tymbardziej wstrzymywać ich będzie od powrotu lub przeniesienia się np. do Parany posiadanie gruntów. Polacy amerykańscy mówią wprawdzie nieraz, że wróciliby do »wolnej ojczyzny«, ale nawet wtedy ci, którzy się na roli osiedli, zostaliby na miejscu.

Kolonizacya polska w Stanach Zjednoczonych nie może więc być akcyą narodową, z drugiej strony jednak nie ma powodu jej potępiać, bo w każdym razie ogromna większość Polaków — czy zostanie w miastach, czy osiądzie na roli, — zemerykanizować się musi. Dla wielu wychodzców okazać się może korzystną, nie trzeba tylko nadawać jej pozorów działalności patryotycznej.

— Dnia 30. września odpłynęli z Southamptonu do Rio de Janeiro pp. L. Bielecki i R Dmowski, udający się do południowej Brazylii, w szczególności zaś do stanu Parana w celu zapoznania się na miejscu z krajem i jego stosunkami ekonomicznymi. P. Bielecki, kupiec z Warszawy i jeden z czynnych członków warszawskiego Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, ma, jak się dowiadujemy, na celu zebranie możliwie dokładnych wiadomości o naturalnych zasobach kraju, obecnym stanie jego wytwórczości i jej widokach na przyszłość, wreszcie o stosunkach handlowych tamtejszych, co do których zbierał dane już w Hamburgu. P. Dmowski, publicysta, współredaktor naszego pisma, od pewnego już czasu zajmował się studyami teoretycznemi nad sprawą wychodztwa i kolonizacyi, a praca jego o wychodztwie polskiem wkrótce wyjdzie z druku. Podróż jego do Brazylii jest dalszym ciągiem rozpoczętych poszukiwań, mających na celu bliższe wyświetlenie sprawy osadnictwa naszego, dotychczas pomimo wszystko niedość jasnej dla ogółu. Zebrane w tej podróży dane mają posłużyć za materyał do opracowania podstaw przedsiebiorstwa finansowego, którego rozpoczęcia należałoby

oczekiwać w roku przyszłym. Pp. Bielecki i Dmowski mają zamiar zabawić na miejscu kilka miesięcy.

== Składki na stypendyum im. Kościuszki, zainicyowane na podstawie uchwały Rady nadzorczej Muzeum narodowego polskiego w Rapperswylu, nie będą kapitalizowane, lecz odrazu dzielone pomiędzy ubiegających się. W roku bieżącym zebrano 1.218 franków 95 centymów, z roku ubiegłego pozostało 843 fr. 95 ct. Rozdano na stypendyą 1800 franków, pozostało tedy w kasie 262 fr. 10 ct. Stypendya z funduszu tego pobierają w roku bieżącym: studenci medycy w Krakowie, pp. C. i K. 360 fr. i 480 fr.; p. K., student chemii w Charlottenburgu 480 fr.; student chemii w Zurychu, 480 fr.

P. H. Bukowski, którego ofiarnością i gorliwością w zbieraniu składek ten fundusz stypendyalny istnieje, wzywa do składek przedewszystkiem obywateli z zaboru rosyjskiego, z którego niemal wyłącznie stypendyaci pochodzą i przypomina, że obecnie liczba młodzieży polskiej, szukającej z konieczności nauki zagranicą, zwiększyła się znacznie wskutek ostatnich wydaleń.

Przy sposobności zaznaczamy, że studenci warszawscy, wydaleni za demonstracyę przeciw uczceniu pamięci Murawiewa, w r. b. pozbawieni zostali otrzymywanych dotychczas zapomóg. Ofiarności obywatelskiej Warszawy starczyło niespełna na dwa lata.

== W Bottropie w Westfali 8.000 Polaków, w Brucku 5 000, w Wanne 4.000 nie mogą doprosić się księdza, któryby wygłaszał kazania i spowiadał ludzi po polsku. Zaledwie kilka razy do roku odwiedza te miejscowości Franciszkanin, władający językiem polskim. Podobne stosunki panują w Herten, Recklinghausen, Ruhrort, Gelsenkirchen, Wattenscheid i t. d. gdzie mieszkają tysiące robotników Polaków.

Z OBCEGO ŚWIATA.

== Pewien dziennik rosyjski podaje ciekawą wiadomość o istnieniu t. zw. *liożki* (od słowa *leżat'*) w gubernnii pskowskiej i innych miejscowościach Rosyi.

»*Ložka*«, pisze gazeta rosyjska, spotyka się przeważnie w tych miejscach gubernii pskowskiej, w których panuje często nieurodzaj, a co za tem idzie brak żywności po wsiach. Ludność miejscowa, której zagraża głód, musi szukać jakiegobądź wyjścia z rozpaczliwego położenia. Chłopi tamtejsi skoro tylko zauważą, że zboża nie wystarczy do wiosny, zaczynają przedewszystkiem myśleć o tem, jakby najmniej jeść. Ale wiedząc dobrze, że w takim razie trudno im będzie zachować siły do roboty, kładą się na piec i zapadają w rodzaj letargu, śpiączki kilkomiesięcznej, która właśnie nosi techniczną nazwę »*ložki*«. Budzą się raz na dzień, aby zjeść kawałek chleba i wypić dzban wody lub napalić w piecu. Czynności te wypełniają bardzo ostrożnie, wiedząć, że ruch wywołuje apetyt, starają się przeto jaknajmniej ruszać się, a jak najwięcej spać. W chacie włościańskiej panuje ciemność i cisza zupełna: w rozmaitych kątach chałupy, najczęściej zaś na piecu w kupach lub pojedyńczo leży cała rodzina.

Zjawisko takie, kończy gazeta rosyjska, nie jest bynajmniej wyjątkowem. Daje się spostrzedz ono nie tylko w pojedynczych rodzinach, ale w całych wsiach, a nawet powiatach. W ciągu długiej zimy głęboki sen

panuje po chatach włościańskich, dzień zamienia się w noc, pod której skrzydłami ukrywają się tysiące śpiących ciał prawie bez śladów życia. Wszystko śpi, i ludzie i zwierzęta, i w przeciągu kilku miesięcy żywa mowa ludzka zamienia się w senne chrapanie.

Istnienie podobnych objawów w życiu ludu rosyjskiego tłómaczy trwałość caryzmu i wykazuje niedorzeczność dosyć często wypowiadanych nadziei, że rewolucya ludowa w Rosyi jest nawet w blizkiej przyszłości możliwą. Lud, który nie szuka sposobów wybicia się z nędzy, nie emigruje, nie burzy się, ale filozoficznie głód »przesypia«, nie jest zdolnym do protestu rewolucyjnego. Dla takiego ludu i w polityce jedyną zasadą jest zalecane przez znakomitego pisarza narodowego »nie sprzeciwianie się złu«. Zna on tylko »heroizm niewoli«, ten specyficznie rosyjski heroizm, który jest »psu zasługą, człowiekowi grzechem«.

═ Podczas pobytu Mikołaja II. we Frankfurcie nad Renem jakieś Francuz wskoczył na stopień powozu carskiego ażeby uścisnąć dłoń »wspaniałomyślnego sojusznika Francyi.« Ma się rozumieć, naiwnego przyjaciela Rosyi aresztowano i potrzymano w kozie dopóki się nie wylegitymował.

═ Sąd okręgowy w Bonn skazał był za obrazę majestatu redaktora Heilmanna i ślusarza Küppelshausera za to, że w pewnej gospodzie, rozmawiając o zamordowaniu cesarzowej Elżbiety, redaktor orzekł, iż szkoda cesarzowej, bo raczej *kogo innego* spotkać to powinno. Ślusarz mu na to przywtórzył. Sąd skazał obydwóch, albowiem wątpliwości nie ulegało, (?) iż mieli oni na myśli — cesarza niemieckiego. Skazani przeciw temu wyrokowi zapelowali, ale sąd rzeszy w Lipsku teraz rewizyą odrzucił.

Wyrok ten przypomina orzeczenie komisarza policyi (*pristawa*) w Petersburgu. Aresztowano tam dwóch przechodniów, ponieważ szpieg podsłuchał, jak jeden z nich powiedział, »a więc cesarz (panował wówczas Aleksander III) okazuje się kompletnym durniem«. Oskarżony usprawiodliwiał się, że mówił o cesarzu chińskim. »Gadaj zdrów — zawyrokował Salomon policyjny, jeśli mowa o durniu, to z pewnością o naszym« !

═ Car Mikołaj poddał się w Darmsztadzie operacyi, która ma ułatwić funkcyonowanie prawidłowe mózgu. Z cesarzem Wilhelmem ma się car zjechać w Poznaniu. Pogłoskom o zjeździe trzech cesarzy zaprzeczono.

═ Znany przyjaciel Polski p. Oreste Tencajoli wespół Hugonem Mommeret de Villard urządzili w Muzeum w Medyolanie oddział polski. Oddział ten zawiera portrety i fotografie znakomitych Pokaków w XIX. wieku i Włochów, którzy słowem lub orężem walczyli za sprawę naszą, różne dokumenty i listy, rękopisy i *fac-similia*, tudzież książki, poświęcone Polsce lub sprawie polskiej. Z wykazu, zamieszczonego *w Bulletin polonais*, przekonywamy się że piśmiennictwo włoskie ma sporo utworów, dotyczących Polski i dziejów naszych w ostatniem stuleciu.

Wszelkich wiadomości o odziale polskim w Muzeum udziela chętnie p. O. Tencajoli (Milano, Italia, ulica Durini 7.)

═ Wice-konsul angielgki w Wyborgu Wolff, który niedawno otrzymał dymisyę na żądanie rządu rosyjskiego, jest rodowitym Finlandczykiem. Wolff

stał na czele deputacyi, złożonej z 500 osób, której Mikołaj II. nie przyjął i zwrócił się wówczas do ministra sekretarza stanu Prokopego z przemową, którą zakończył temi słowy: »Niech Wasza Ekscelencya zapyta cesarza, czy jest dosyć bogaty, żeby mógł lekceważyć przywiązanie takiego narodu, jak nasz«. Ciekawe szczegóły o walce Finlandczyków w obronie konstytucyi zawiera wydana niedawno po francusku broszura p. t. *Le Coup d'etat en Finlande.*

= W listopadzie przyjeżdża do Petersburga *monsignore* Tarnassi, legat papieski, który ma traktować z rządem rosyjskim w sprawie reformy seminaryów duchownych. Wobec skłonności polityki Kuryi do ustępstw, można się obawiać, że rząd rosyjski wytarguje zgodę na pewne, pożądane dla niego zmiany, tembardziej, że nawet niektóre klerykalne włoskie i francuskie wierzą lub udają, że wierzą fałszom, przez rząd rosyjski o seminaryach głoszonym.

SKŁADKI.

P. »Lech« z Darm. nadesłał nam 3 marki 50 f. na Uniwersytet ludowy imienia Mickiewicza.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Bog. Majw. Warsz. Amerykanin zgedza się i od połowy listopada przystępuje do studyów fachowych w tej kwestyi. Praca p. Rozwody wyjdzie zapewne w r. b. w języku czeskim.

P. M. W. w Ber. Damy w przeszłym numerze, w bieżącym nie było miejsca.

P. Bol. M. w Samb. W Transvaalu, głównie w kopalniach złota pracuje trochę Polaków. Niektórzy zajmują w tym kraju wyższe stanowiska. Przeważnie jednak do Afryki południowej emigrowali Żydzi litewscy, którzy pociągnęli za sobą Polaków i Litwinów. Murzynom ponadawali polskie nazwiska i imiona mający tam misyę Trapiści, między któremi jest wielu Ślązaków.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A Szyjkowskiego